

# Łódź

# Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 23 (1471) ROK XXIX

7 CZERWCA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

- Wspomnienia Mieczysława F. Rakowskiego
- Afera Agca-Antonow
- Smutne Konfrontacje '85
- Ratować zegary!

## Tylko 23 lata do emerytury

Rozmowa ze **SLAWOMIREM PIETRASEM**, dyrektorem Teatru Wielkiego w Łodzi, laureatem nagrody „ODGŁOSÓW” za rok 1985.

— Gratuluję nagrody „Odgłosów” za upowszechnianie kultury. To pana pierwsze wyróżnienie tego rodzaju?

— Chyba tak. Jestem ciągle w sytuacji, gdzie nie czas ani ochota pracować dla orderów. Niemniej w ostatnim okresie, przynajmniej to szczerze, martwił mnie brak oficjalnego oddźwięku przy różnych moich zawodowych usiłowaniach.

— Co zrobił pan istotnego nie dla siebie w swojej dotychczasowej działalności, przed podjęciem pracy w Łodzi?

— Właściwie wszystko. Przed Łodzią w moim życiu zawodowym działo się wiele ze skutkami w karierach innych osób. Przez bardzo wiele lat terminując w zawodzie dyrektora instytucji artystycznych po prostu pracowałem na inną, w większości zresztą wspaniałą firmę. W jednym tylko przypadku okres mojego tandemu z pewnym reżyserem i śpiewakiem nauczył mnie w teatrze operowym wszystkiego czego nie wolno mi robić. Często wspominałem ten okres, bo mimo jego negatywnych aspektów do dziś pozostawił mi umiejętność omijania raf. Za to pozostałe indywidualności, na które pracowałem, to ludzie, którym wiele zawdzięczam. W sensie zawodowym chyba największą Robertowi Satanowskiemu, w sensie artystycznym pewnie Conradowi Drzewieckiemu, mimo że w momencie kiedy uznał, że spełniłem swoje zadanie — wyrzucił mnie z pracy. Do końca życia będę wspominał moją wielką mistrzynię Barbarę Kostrzewską, z którą prowadziłem tylko jeden sezon Operetki Wrocławskiej, ale wystarczyło mi to za wieloletnie doświadczenia w

poznawaniu psychiki artystów, a anegdota na długie wieczory. Często, gdy czuję się samotny w teatrze myślę, że jestem wnuczką Waleriana Bierdiajewa, ponieważ duży wpływ na moje pojmowanie teatru oprócz Barbary Kostrzewskiej mieli: Bolesław Jankowski, Antonina Kawecka, Maria Fołtyń oraz cała plejada wielkich nazwisk skupionych niegdyś przy Operze Poznańskiej czyli dzieci Bierdiajewa.

— Co do dziś procentuje panu z tych różnych okresów i jak stara się pan pomnażać ten procent?

— Procentuje mi bardzo uważne obserwowanie wieloletniej pracy Danuty Baduszkowej i jej wielka przyjaźń do mnie. Od dziecka wychowywałem się z jej córką Dorotą, ale wraz z dorastaniem przyjaźniłem się z jej matką, wyrażając jednocześnie przebiegłość i niechęć do zawodu. Poza wszystkim procentuję rozważa, skupienie i ilość czasu jaką poświęcam teatrowi. Każde sprzeniewierzenie się tym cechom umniejsza procent efektu mojej pracy.

— Co zdecydowało, że postanowił pan przyjechać do Łodzi?

— Optymalność momentu, w którym otrzymałem tę propozycję. Robert Satanowski, z którym pracowałem w Operze Wrocławskiej, był już jedną nogą w Teatrze Wielkim w Warszawie i niestety uprzedził, że nie zamierza mnie ze sobą zabrać. Na szczęście nie liczyłem na to, ale jednocześnie po cichu przygotowywałem się na otrzymanie propozycji pozostania w

5



Foto: Grzegorz Gałasiński

„Jechali przez coraz dzikszą okolicę. Wylonili się przed nimi Popocatepetl — zjawia zataczająca krag i już od nich odpływająca, która jednak nęciła ich do siebie.

Pojawiła się też znów na widowni rozpadlina, ciępliwie pelzła za nimi w oddali.

Autobus zapadł się w dziurę z ogłuszającym trzaskiem i wstrząsem, od którego serce podeszło Hughowi pod gardło. A potem zapadał się w następne, coraz głębsze dziury.

— To zupełnie jak jazda po powierzchni księżycy — usiłował powiedzieć do Ivonne.

M. Lowry „Pod wulkanem”.

Niezależnie od tego, gdzie zatrzyma się autobus, zawsze można trafić na ocienione drzewami Zócalo z metalowymi, powyginałymi w delikatne ornamenty ławeczkami i z rodzajem okragłej, albo ośmiokątnej estrady w środku, zejść, albo wspiąć się ulicami Juareza, Reforma czy Hidalgo, pełnymi ludźmi i straganów, przeciskających się przez dźwięki muzyki mariachis albo marimb zapachów tortilli, dziesiątków żebrzących dzieci, których samemu ma się ochotę prosić o jałmużnę, dostrzec zielone markizy oficjalnych budynków, natknąć się niespodziewanie na rzadkiej piękności okno lub fragment muru, zaglądnąć w nagle otwierające się patio, jak ze snu...

A przedtem i potem kwartały niskich domów, ponad którymi wystają pekate, lśniące w słońcu kopuły katedr... Niedaleko pograżone w ciszy, mniej lub bardziej zapomniane, osiedla prekolumbijskie... Fantastyczne kształty wzgórz, albo regularne stożki wulkanów... Nawet najmniejsze miasteczko meksykańskie nie mogłoby istnieć bez większości z tych rzeczy. Jeżeli nieczego takiego nie ma w pobliżu bez wątpienia zabłądziło się do jakiegoś zupełnie innego kraju.

### ŚWIAT JAK AUTOBUSOWY DWORCZEC

Wszystko zaczyna się na jednym z wielkich dworców autobusowych w stolicy, rozmieszczonych koło stacji metra San Lázaro, Autobuses Norte, Tasquena. Otoczone tętniącym całą dobę ży-

RYSZARD NAKONIECZNY

## Miasta i wulkany

cam bazarem, pełne nawoływań kierowców taksówek i koczującego tłumy są strefą przejściową, dającą złudzenie wolności, podsuwającą setki możliwości, stwarzającą poczucie oszalałego ruchu. Bardzo wielu bohaterów literackich i filmowych, w takie właśnie miejsce udawało się, aby przemyśleć własne życie, ustalić hierarchie, podjąć decyzję... I spora część z nich, ogarnięta wahaniami i lękiem, albo po prostu zagubiona wśród ludzi, spraw do załatwienia, motywów, odwracając głowę od pozawieszanych wszędzie zegarów, przegapiła właściwy autobus, swoją szansę na wielką podróż.

Bo jeżeli nawet autobusy w tym samym kierunku odjeżdżają co godzinę, właściwy jest tylko jeden — tak przynajmniej uważali autorzy starych filmów i książek, tak śpiewa, z trudem przeciskając się przez hałas, José Feliciano. I zaraz potem dodaje — tego już prawie wcale nie słychać, bo akurat zaczyna płakać równocześnie kilkoro dzieci — że pówoli cały świat staje się wielkim dworcem autobusowym z coraz większą ilością pu-

stych autobusów odjeżdżających wprawdzie en todos los sentidos (we wszystkich kierunkach), ale sin sentido (bez sensu). Oczywiście niemodnie jest brać sobie do serca słowa sentymentalnej piosenki, ale, na wszelki wypadek, lepiej nie kręcić się zbyt długo po dworcu.

Najbliższy autobus linii ADO (Autobuses de Oriente — najlepsza linia w Meksyku) do Oaxaca odjeżdża za pięć minut, są jeszcze wolne miejsca.

### OAXACA O ŚWIECIE

wygląda jak duża zabawka; przecinające się pod kątem prostym wąskie ulice obramowane zwartą ścianą niskich domów, staromodne latarnie, nieliczni mężczyźni w sombreroach, kobiety w różnobarwnych rebozos, niewielka, surowa, kamienna katedra i pyszny, przepełniony ziołami kościół Santo Domingo.

W miarę upływu czasu to wrażenie zaczyna się zaciemniać, ale nawet wieczorem nie ma tu ruchu i zgiełku typowego dla innych miast meksykańskich; Oaxaca nigdy nie przekracza barier rzeczywistości. Wydaje się być miejscem idealnie odbijającym stan ducha tego, kto akurat się w niej znalazł. Jeżeli jest to ktoś szczęśliwy, rozsmuwa wokół niego prawdziwą baśń, a nieszczęśliwi w ogóle nie powinni tu przejeżdżać, nie znajdując ukojenia nawet na niewielkim, jakby wyciętym z tektury Zócalo.

Dla turystów Oaxaca jest zaledwie punktem wypadowym, bazą wycieczek do licznie usytuowanych dookoła stref archeologicznych z najsłynniejszymi, Monte Alban i Mitla, na czele, do miejsc rekreacyjnych, wśród których przodkuje Santa Maria del Tule z pewnie największym na świecie drzewem i do mnóstwa mercados, gdzie można kupić oryginalne, szlachetne we wzornictwie sarape znacznie taniej niż w stolicy.

Ponad sto razy mniejszy niż w Meksyku dworzec autobusowy w Oaxaca stwarza też mniej więcej tyle razy mniej możliwości niż oferował na przykład San Lázaro.

13



NR 23 (1471), XXIX, 7 CZERWCA 1986 R.



**K**iedy w starych studenckich czasach jako guide „Almaturu” w Warszawie opiekowałem się zagranicznymi studenckimi wycieczkami, jednym z najbardziej powszechnych spostrzeżeń studentów z Francji, Anglii, Holandii, Włoch, zapytanych co im się najbardziej podoba z pierwszych wrażeń, było stwierdzenie: „To, że u was nie ma tych ogłupiających reklam i człowiek zupełnie inaczej czuje się na ulicy, gdy może sobie obejrzeć wybitne artystyczne plakaty filmowe, teatralne lub okolicznościowe i to na każdym niemal płocie”. Plakat polski był wtedy słynny w świecie, ale chodziło nie tylko o to. Ten fakt był bardzo widocznym przejawem istotnej swoistości funkcjonowania socjalistycznego państwa w odróżnieniu od kapitalistycznego.

## SZTUKA PRZED REKLAMĄ

Socjalistyczne państwo faworyzowało na co dzień pewne oryginalne zhierarchizowanie wartości, promując w dziedzinie estetycznej wybitną i dostępną dla społeczeństwa sztukę, a nie czys interes partykularny wymagający natarczywego przypominania przechodniom, że bez określonej pasty do butów lub proszku do prania danej firmy żyć nie można. Były to czasy, gdy repertuar polskich kin był jeden z najlepszych w świecie (preferując wartości artystyczne nad komercyjnymi), w teatrach grzano najnowsze sztuki Jean Paula Sartre’a, Samuela Becketta czy Friedricha Dürrenmatta, bilety do teatru i kina były wielkością cen symboliczną, masowo wydawano klasyki, zaś zdolni ludzie mogli zostawać inżynierami, aktorami, muzykami, śpiewakami i uczonymi na koszt państwa, łącznie z całkowitym utrzymaniem w czasie studiów, gdy komuś nie mogła pomóc rodzina. Socjalistyczne państwo w sposób klarowny i otwarty realizowało pewien zestaw wartości, wartości najwyższych związanych z ludzkim zdrowiem, wiedzą, najwyższymi formami rozrywki, wszechstronnym rozwojem osobowości. Socjalistyczne państwo mogło z całym spokojem cytować wieszczą, iż książki winny zbliżać pod strzechy i pokazywać z dumą na licznych przykładach, że czasy Janków Muzykantów należą do przeszłości.

Oczywiście, by państwo mogło lansować taką hierarchię wartości, odwracając dotychczas przyjmowane hierarchie, musiało mieć społeczną zgodę na to, i miało ją. Było jasne, powszechnie traktowane jako wyraz dziejowej sprawiedliwości, zgodne z zasadami instynktownie rozumianej sprawiedliwości społecznej, że powszechna oświata i powszechna dostępność dóbr kultury postawione muszą być wyżej ponad wyrażanymi potrzebami konsumpcyjnymi pozostałych przedstawicieli dawnych panujących klas. Gdyby ktoś wówczas próbował argumentować, że czyjaś potrzeba posiadania np. nad głową pałacowego sufitu może być odczuwana silniej niż potrzeba nauki dla chłopskich dzieci, z pewnością dyskusja wyszłaby poza ramy elegancji i grzecznej dysputy. Niejedną współczesną burżuazijną filozof argumentuje dziś w ten właśnie sposób, że socjalizm jest m.in. dlatego niemożliwy, że nie sposób uzyskać powszechnie akceptowalny zestaw wartości. Wtedy umiano rozprawić się z tego rodzaju poglądami, które w konkretnych takich sytuacjach historycznych nie mogą być niczym innym niż demagogią.

Rozumiano wtedy prawie powszechnie, że cała istota socjalizmu, to właśnie stworzenie takiego społecznego systemu, w którym nowe wyobrażenia o kształcie życia społecznego, nowe zhierarchizowanie potrzeb dysponuje społeczną siłą wymuszającą na ekonomii jej rozwój w pożądanym kierunku, służącym zaspokojeniu tych, a nie innych potrzeb. Oczywiście, ale od razu wszystkich potrzeb wszystkich ludzi, ale twarde postawione: była sprawa zasług wynikających z czynnej społecznej postawy. W wytyczeniu nowej hierarchii potrzeb uwzględniono tradycję ruchu robotniczego, ale też dostrzeżono kluczową rolę marksistowskiej teorii socjalizmu i komunizmu. Niezwykle mocno brzmiał również ton żywciości i otwartości w stosunku do wszystkiego co najlepsze w ludzkiej kulturze, niezależnie od epoki powstania, a także nawet funkcji, jakie dzieła owe pełniły w swoich czasach.

Dlatego pisać o tym zjawisku przyjęcia nowej socjalistycznej hierarchii wartości w czasie przeszłym, skoro generalnie biorąc te zasady są i nadal podtrzymywane? Czyżbyśmy dziś chcieli się od nich odciąć? Z pewnością nie, ale jednak dziś sytuacja, jaka się wytworzyła daleka jest od ówczesnej klarowności. Filozofowie kwestionują zasadność oddawania jakichkolwiek wartości pod kuratelę państwa, ekonomisci przebakują o rzekomej „nadopiekuńczości” państwa socjalistycznego, etycy o wyrabianiu postawy: „to mi się należy”, a znikają postawy: „to jestem gotów z siebie dać”. Twórcy, których częstokroć za darmo wykazywało państwo, a teraz zbierają tego owoce w twardej walucie wyłączone dla siebie, wieszają psy na „państwowym mecenacie”. Wydaje się jednak, że najbardziej daje się we znaki całkowite ideologiczne zagubienie prawdziwej oceny, czym historycy różni się i różnić powinno państwo socjalistyczne od kapitalistycznego.

Socjalistycznemu zhierarchizowaniu wartości zagraża bowiem najbardziej silnie dziś oddziaływający, z wielu społeczno-politycznych przyczyn, klasyczny zestaw wartości kapitalistycznego świata. Istnienie u nas pokazywał elementów drobnokapitalistycznych oraz oddziaływanie przeżyającego dziś w jego najbardziej spektakularnych wydaniach wielki towarowy boom świata najbardziej rozwiniętego kapitalizmu. kruszą i tak nadwątłone zestawy, starych, do niedawna niekwestionowanych socjalistycznych wartości.

## ISTOTA ZAGROZENIA

Nie dostrzega się przede wszystkim rzeczywistego charakteru kapitalistycznej produkcji, który demaskował w jego ahumanistycznych treściach nie tylko marksizm, ale cała plejada burżuazyjnych socjologów również, zaskakanych wrastającym rozróżnieniem między rzeczywistymi potrzebami społeczeństwa i żywiołowym kształtowaniem się celów produkcji. Do mitów zaliczono wyidealizowaną sytuację, iż społeczny popyt wymusza podaż, wykazując, iż od dawna najsilniejszy ekonomicznie dyktują swoje warunki wymuszając i stłucznie wzbudzając pewne społeczne potrzeby. Znany, były marksistowski polski ekonomista nazywał wręcz cywilizację kapitalistyczną cywilizacją samochodu, wymuszoną przez najsilniejszy przemysł ciężki i maszynowy, wbrew logice racjonalnego gospodarowania miast, a nawet racjonalnego poruszania się (stałe np. niebezpieczeństwo ugrzęźnięcia na kilka godzin, nawet dni w gigantycznym „orku”), zamiast rozwijać te galeje gospodarki, które naprawdę sprzyjały rozwojowi osobowości, a więc na przykład budownictwo mieszkaniowe. Inny socjolog, tym razem burżuazyjny, od początku ukazał grę pozorów jakiej sprzyja kapitalistyczna produkcja wymuszająca tzw. „ostentacyjną konsumpcję” (conspicuous consumption) — zredukowanie wszystkich wartości osobowych do posiadania wszystkich przedmiotów, jakimi można się popisać.

Szczególnie w latach 70-tych zapomniano o bardzo poważnych ostrzeżeniach marksizmu w stosunku do pewnych właściwości systemu opartego na wolnej konkurencji, wymuszającego pewne zestawy wartości, takie, jakie zostają wymuszone przez automatyczny rozwój kapitalistycznej ekonomii. Hasło „obyśmy wszyscy żyli dostatniej” postawione samemu sobie, nie oparte o jakiś wypracowany system socjalistycznych wartości, zaczęło działać w sposób niszczyielski na społeczną świadomość. Trzeba pamiętać o okrutnych działaniach w takiej sytuacji prawach Ideologia „małego fiata” przegrzywa bowiem z ideologią „dużego fiata”, zostawia natomiast człowieka w sytuacji stałej gorczy w zestawieniu z ideologią „poloneza” lub „mercedesa”. Oznacza to bowiem wysunięcie na plan pierwszy wyścigu, którego nie możemy wygrać, z którego wyjść może tylko społeczeństwo frustratów. A nie możemy go wygrać ze względu na pewne cechy kapitalizmu, z którym chce się tu podjąć wyścig na narzuconych przezeń właśnie regułach. Dlatego nie można tego wyścigu wygrać, wyjaśniał od początku autentyczny twórcy marksizm.

Mało kto sobie przy tym zdaje sprawę, że punktem wyjścia analizy kapitalizmu przez Karola Marksa jest wielki, autentyczny, nieklamany podziw dla możliwości rozwojowych okazanych przez ten system i dynamiki działania okazanych we wczesnym jego stadium przez burżazję. Mało kto, zapytany skąd pochodzi następująca apologia burżuazji i jej historycznej roli, ogadłby, że tekst ten jest fragmentem „Manifestu komunistycznego”.

„Burżuazja odegrała w historii rolę w najwyższym stopniu rewolucyjną. (...) Dopiero burżuazja pokazała, co może sprawić ludzka działalność. Dokonała ona całkiem innych cudów niż zbudowanie egipskich piramid, rzymskich wodociągów i gotyckich katedr, odbyła pochody inne niż wędrowki ludów i wyprawy krzyżowe. Burżuazja nie może istnieć bez nieustannego rewolucjonizowania narzędzi produkcji, a więc stosunków produkcji, a więc całokształtu stosunków społecznych”. Dziś co prawda sama burżuazja nie uczestniczy tak bezpośrednio w procesie produkcji, na pewno jednak odbywa się w kapitalistycznym świecie ciągle opisane przez Karola Marksa zjawisko rewolucjonizowania narzędzi produkcji.

System ten ma jednak szereg poważnych wad, które powodują istotne wypaczenie tego procesu nieprzerwanego i ciągle ulegającego przyspieszeniu (poza okresami kryzysów) rozwoju gospodarczego i technicznego. Pierwsza z nich wymieniona jest już w samym „Manifestie komunistycznym” i ma charakter dehumanizacyjny. Pisząc o owej dziejowej roli burżuazji Karol Marks w dalszym ciągu bowiem komentuje: „Pozywała bezlitośnie wielorakie więzy feudalne, które przykuwały człowieka do jego „naturalnego zwierznika” i nie pozostawiała między ludźmi żadnej innej więzi prócz namiętności, prócz wyzutej z wszelkiego sentymentu „zapłaty gotówką”. Świątobliwe dreszcze po-

TADEUSZ MENDELSKI

# Chleb i idee

## Socjalistyczna hierarchia wartości

bożnej egzaltacji, rycerskiego zapachu, drobnomieszczańskiej rzetelności, zatopila w lodowatej wodzie egoistycznego wyrochowania. Godność osobistą sprowadziła do wartości wymiennej, a zamiast niezliczonych uwierzytelnionych dokumentami, dobrze nabytych woiności wprowadziła jedną jedyną, pozabawioną sumienia, wolność handlu. Słowem, wyszysk osłonięty studentami religijnymi i politycznymi zastąpiła wyżyskiem jawnym, bezwstydnym, bezpośrednim, nagim. Burżuazja zdarła aureole świętości z wszystkich rodzajów zajęć, które otaczano dotychczas szacunkiem i na które spoglądano z nabożną czcią. Lekarza, prawnika, duchownego, poeę, uczonego obrócił w swoich płatnych najemnych robotników.”

A więc to co robiliśmy było niejako wydzieraniem artystów, lekarzy, ludzi nauki, często nawet księży owemu burżuazyjnemu zdeprecjonowaniu i zdegradowaniu ich działalności. Pozycja prestiżowa pisarza, uczonego, członka Akademii Nauk, aktora, przybrała rozmiary nie znane nigdy w historii — paroksmem się stało, że wielu z nich korzystając z tej pozycji, jaką dać jest w stanie jedynie socjalistyczne państwo, zajęło się dziś usilnie remontowaniem tego państwa. Trudno znaleźć lepszą ilustrację powiedzenia o podcinaniu galezi, na jakiej się siedzi, ale też przynasta trzeba, że nie tylko dlatego zaczął się obniżać od kilkunastu już lat społeczny prestiż tych zawodów Zlekceważyliśmy bowiem silnie kontrofensyw wartości burżuazyjnych. Trzeba było bowiem dobrej znajomości całości marksizmu i dużej wyobraźni w stosowaniu go do współczesności, żeby przewidzieć niebezpieczeństwa jakie ten system rodzi. Siła tych wartości wynika bowiem w głównej mierze ze słabości tego całościowego funkcjonowania. Trzeba przy tym pamiętać, że system ten wciąż jeszcze w państwach otaczających świat socjalistyczny trwa, a również wykazuje tendencje odradzania się z całą siłą żywiołu pierwotnej akumulacji.

## WIDZIEĆ TRZEBA CAŁOŚĆ

To, że targają nim sprzeczności sprawia, że wylania pewne wartości i wzorce konsumpcyjne, które są najbardziej atrakcyjne właśnie dla tych, którzy są poza nim i nie widzą tej drugiej strony medalu, która jest społecznym kosztem wytworzenia tej skrajcej się tysiącami światłec i powabów strony promieniującej daleko poza swoje granice.

Po pierwsze — fakt, że rewolucyjność w rozwoju sił wytwórczych nie jest podporządkowana realizacji jakichś społecznych celów a tylko prawom ekonomicznym, sprawia, że bardziej opłacalna staje się produkcja najbardziej wyrafinowanych przedmiotów dla nielicznej elity niż najpotrzebniejszych dla ogółu (np. mieszkań: miliony bezdomnych w przebogatych Stanach Zjednoczonych nie mówią już o cywilizacji slumsów w całym III świecie). Jako swoje osiągnięcia system kapitalistyczny wysuwa jednak owe wyrafinowane przedmioty zbytku, tuszując również fakt, że u podstaw ich wyprodukowania leży grabież ekonomiczna surowców całego świata (również naszych sprzedawanych często za bezcen). Sam przedmiot jednak blyszczy pełnym blaskiem, trochę zrzeczności propagandowej wystarczy, by zapomnieć o okolicznościach jego narodzin, a za to ukierunkować myśl ku westchnieniu — my byśmy też takie mieli, gdyby nie ten nasz socjalizm!

Na naszą niekorzyść działa bowiem jeszcze i drugi element sprzeczności świata kapitalu, choć tu odrobina rozsądku wystarczałaby dla realistycznego spojrzenia na naszą sytuację. System kapitalistyczny działa bowiem na zasadzie sprzężenia zwrotnego dodatniego, które niektórzy cybernetycy ilustrują starym powiedzeniem biblijnym „Kto ma temu będzie dane”. Biblia nie ocalała, jak widać, tego padółu placu jako miejsca, gdzie realizuje się jakaś sprawiedliwość. Krzyżująca niesprawiedliwość systemu wolnego inwestowania polega na tym, że zwyciężają tam zawsze ci, którzy byli pierwsi na starcie, a wręcz pierwsi są coraz bardziej w przodzie a ostatni coraz bardziej w tyle. Obowiązuje to w głównej mierze w odniesieniu do centrów kapitalu. Anglia, Francja, Holandia, Niemcy, Włochy, północno-amerykańska kapitalowa odnoga Europy i żandarm dla dalekiego wschodu Japonia — ta hierarchia utrzymuje się od stuleci. Ambitni, i nieostrożni w chwaleniu się przy tym, parweniusze mładszeni są z całą bezwzględnością — Meksyk czy Iran, które chciały dzięki ropie wejść do „klubu potentatów” przekonały się o tym. Gospodarczo, finansowo i technologicznie cała reszta niesocjalistycznego świata jest właściwie przedpłom, podwórkami i śmietnikami dla potentatów. My dzięki długom już częściowo też. To jednak sprawia, że te najbardziej wyrafinowane, technicznie elitarne przedmioty na tym wierzchołku góry lodowej, którym są państwa potentatów kapitalu, nie muszą być takie elitarnie i może na nie sobie pozwolić niejedyn robotnik. Wystarczy mieć teraz wzrok wystrzony tylko na ten wierzchołek góry lodowej (w rzeczywistości jest to o wiele mniej niż 1/7 masy lodu, która wystaje) by wolać z podziwem i oburzeniem: co wy tu mówicie o niesprawiedliwości tamtego systemu — przecież tam ta najlepsza produkcja ma charakter masowy. Tam często może i tak a więc samochód w Stanach Zjednoczonych, ale już nie mieszkanie), ale czy na tym kończy się oddziaływanie kapitalu, można spytać studentów z Ameryki Południowej i wielu krajów arabskich studiujących w Łodzi. Oni często nie mogą się nadziwić naiwności naszych rodaków widzących świat kapitalu jak przez kołkie okulary naceLOWANE tylko na to, co blyszczy. Jak również naiwności, że jakie państwo kapitalistyczne zaproszeni byłibyśmy na wspólną ucztę przez największych potentatów. Jak dotychczas w Europie zapraszał nas świat kapitalu (gdy Polska jeszcze do niego należała) na swoje uczy raczej tylko w charakterze jednej z potraw.

## KTO NA SZCZYTIE DRABINY?

Do stałego — i wcale nie marginalnego — wypaczenia socjalistycznej skali wartości doprowadza jeszcze pewien konkretny mechanizm ekonomiczny dotyczący przede wszystkim obywateli, którzy mają stały kontakt ekonomiczny ze światem kapitalu, oddziaływający jednak na wszystkich. Mamy tu bowiem gorący

punkt zetknięcia dwóch typów układów gospodarczych i finansowych, co przy szalonym nie zrównoważeniu siły nabywczej złotych i dolara w przedziwny sposób premiuję posiadaczy zachodnich walut. I nie chodzi wcale tylko o to, że obywatele dysponujący twardą walutą mogą imponować owymi elitarnymi przedmiotami produkowanymi w świecie kapitalu. Ale oddziaływanie jest o wiele głębsze i ingeruje w hierarchię wartości, potrzeb stwarzając wręcz nową hierarchię zawodów, jakie daleką od propagowanej niegdyś i poważnie już realizowanej przez socjalizm. Wytwarza się hierarchia zawodów najdziwniejsza w świecie, ani socjalistyczna, ani nawet klasycznokapitalistyczna, bo jej czynnikiem kształtującym jest zwyrodniałe działanie ekonomicznego styku gospodarki socjalistycznej i kapitalistycznej. Najlepiej wychodzą ci, którzy mogą uzyskać najwięcej od obydwu systemów naraz: mieć do sprzedania coś, co jest chodliwie na Zachodzie, korzystać jednocześnie z opieki socjalistycznego państwa. Dlatego na pierwszym miejscu znajduje się sprzedający swoje naturalne wdzięki za „lepszy” pieniądź. I takież panie pierwsze stały się potentatkami wymuszającymi na przykład budowę specjalnie wyposażonych własnościowych domów. W następnej kolejności idą sportowcy, muzycy i plastycy. Wszędzie funkcjonuje ten sam schemat: socjalistyczne państwo przygotowuje towary do sprzedania, zapewniając naukę, kosztowne kształcenie czy treningi, a następnie dzięki wejściu w „dolarowy obieg” osiąga się pozycję społeczną drażniącą swoim zwyrodnieniem. Jak przedstawia się bowiem społeczeństwo, w którym u szczytu drabiny stoją kurtyzana, piłkarz, tenisista, śpiewak, tancerz, plastycy, kombinator walutowy?

Co tu uderza, to pewna niesłychanie niebezpieczna dysproporcja, również w stosunku do kapitalistycznego świata. Tam wszystkie wymienione zawody stwarzają, co prawda, nielicznym szanse osiągnięcia niezłego dochodu, ale nigdy najlepszy śpiewak czy sportowiec nie jest w stanie równać się ze średnim nawet tylko businessmanem. Największy kapitał i największy społeczny prestiż powiązany jest z wielką społeczną produkcją. Tu zaś największy prestiż kojarzy się bądź z działalnością sportowo-artystyczną, a więc nieprodukcyjną, bądź z produkcją drobną, w gruncie rzeczy z punktu widzenia rozwoju społecznego marginalną. Nie ma zaś wśród wartości najbardziej atrakcyjnych i zawodów najbardziej pożądanych dwóch kluczowych dla powodzenia rozwoju socjalistycznego państwa terenów działalności: wielkiego, stanowiącego motor postępu technicznego, socjalistycznego przemysłu i podstawowych zawodów służących umacnianiu i rozkwitowi socjalistycznego państwa. Ani kariera inżyniera wielkiego socjalistycznego przedsiębiorstwa, ani kariera urzędnika państwowego nie są konkurencyjną karierą w stosunku do wymienionych „dewizowych” zawodów, ani drobnego dlabania „na swoim” Ani „w oczach ludzi”, ani w słaćce plac.

Nie trzeba mieć wielkiej siły wyobraźni, by odgadnąć, czym to grozi, jeżeli najzdolniejsi i najbardziej przedsiębiorczy będą przechodzić do dziedzin życia obcojnych albo wręcz wrogich dla socjalistycznego państwa. Cały problem wykracza daleko poza sprawy kształtowania świadomości. Ale nie znaczy to, że w samej dziedzinie świadomości nic nie można zrobić. Marksistowska teoria, drażąca tak jak to jest w zwyczaju marksizmu, gdy jest rzeczywistie rewolucyjną siłą sprzecznosci społecznego jej świata, również rozwijającego się świata socjalistycznego, może przed wieloma możliwymi konsekwencjami ostrzec, umysłowość niebezpieczeństwa, częściowo wskazać również możliwe wyjścia. Nie jest w stanie często rozkwitnąć spłotu uwarunkowań, które sprawiają że rozwój socjalizmu nie może przebiegać „modelowo” czysto, tak jakby sobie tego teoretyk życzył. Ale może jeszcze oddziaływać bezpośrednio na świadomość, pomóc w połączeniu sił tych, którzy już widzą zagrażające niebezpieczeństwa i już w stanie są skrzyknąć się, by robić coś po nowemu i inaczej widzieć oddziaływanie na świadomość człowieka i szanse jakie ono daje.

## JAK STWORZYĆ INNĄ HIERARCHIĘ WARTOŚCI?

Nie wolno demonizować i pozbawiać dialektycznego funkcjonowania prawa „być określa świadomość”. Karol Marks mógł spokojnie robić naukową karierę wykorzystując prerogatywy jakie dawał mu dobry ożenek, Fryderyk Engels spokojnie ciągnął zyski z fabryki ojca, Włodzimierz Lenin korzystał z dobrego imienia i rzetelności wyrobionej w szkolnictwie przez ojca, a jednak wybrali drogę rewolucjonistów. Dziś również i u nas znaleźć się mogą rzeczywiste zatroskani przyszłością socjalistycznego państwa i zdecydowani działać w kierunku odnowienia blasku socjalistycznej hierarchii wartości, na przekór niekorzystnym tendencjom wymuszonym przez meandry rozwoju socjalistycznego państwa w agresywnym z samej swojej natury kapitalistycznym otoczeniu.

Trzeba przy tym zdać sobie sprawę, jak wiele od tego zależy również w zakresie naszego socjalistycznego rozwoju, również rozwoju gospodarczego. Trzeba sobie zdać sprawę, że dziś etos „pracy wyłącznie na swoim” i etos wyrafinowanej zabawy propagowany jest przede wszystkim tam, gdzie poszukuje kapitału nowych kandydatów na skolonizowanie nowymi w jego historii finansowo-pożytecznymi i technologicznymi sposobami. Oprócz się tej finansowej i technologicznej kolonizacji mogą jedynie organizmy wielkie i potężne, dysponujące centralizacją na nowym jakościowo poziomie, co nie wyklucza decentralizacji tam, gdzie jest ona rzeczywiście potrzebna. By to się udało, potrzebni są ludzie, którzy dla tej wielkiej sprawy gotowi są poświęcić wiele. Ale też muszą widzieć, że ranga tej sprawy jest doceniana.

Tylko bowiem dysponując wielkimi socjalistycznymi organizmami gospodarczymi będącymi w stanie dyktować swoje warunki ekonomiczne stać się możemy twórcami nowej techniki, która wyjdzie z innych niż w kapitalistycznym systemie założeń. Która na przykład odczaruje nonsensowny z punktu widzenia racjonalnej społecznej gospodarki element kapitalistycznej techniki — wmontowane w techniczne mechanizmy szybkiego zużycia i nietrwałości przedmiotu, który swą zbyt długą trwałością nie powinien blokować rynku. Robiliśmy nawet kiedyś karierę naszymi oryginalnymi konstrukcjami prostymi i trwałymi w „trzecim świecie”, dopóki nie zapanowała moda na tłumiące wszelką oryginalną polską myśl techniczną gotowe licencje i całe linie technologiczne.

Socjalistyczna jakość produkowania oznaczać może, że robimy to lepiej, bo inaczej. Daleko jest od tego, by każde najnowocześniejsze rozwiązanie zachodnie było rzeczywiście optymalne. Gdyby w sposób systematyczny wnikało w tamte rozwiązania pod kątem dostrzeżenia, jakie jego elementy są wymuszone przez prawidł kapitalistycznego rynku i modelu gospodarowania, nasze nowe rozwiązania byłyby często kwestią jednego szczęśliwego pomysłu. Gony kapitalizm nie jak goni zająca kundel, ale jak hart, przewidujący ruchy zająca i skracający drogę. A przy tym zdajemy sobie sprawę, że przyjęcie wyścigu na warunkach proponowanych przez kapitalizm oznacza jego przegranie — trzeba by mieć drugi taki glob ziemski do grabienia z surowców, jakin dysponują kraje kapitalistycznego klubu prominentów.

Czy nie czas również by wznowić dyskusję nad czymś co można by nazwać „socjalistycznym stylem życia”? Czy nie można sobie wyobrazić odrestaurowania wizji społeczeństwa, w którym nastąpi wyraźne przesunięcie w górę w hierarchii wartości wszystkiego, co wiąże się z rozwojem ludzkiej osobowości? Czy musi dziś wywoływać uśmiešek na ustach przypomnienie, iż w Polsce było kiedyś modne i otoczone dumą hasło: „Polska krajem ludzi kształcących się”? I nie tylko dla celów zawodowych, ale również dla samej przyjemności kształcenia. A nawet tego, że potrzeba wiedzy jest jedną z najwyraźniej kształtujących się w społeczeństwie socjalistycznym potrzeb? Czy do zamierzającej przeszłości należą sytuacje ruchu artystycznego i kulturalnego we wszystkich miejscowościach?

Cywilizacja ludzka istnieje tysiące lat, zaś zaledwie od lat kilkudziesięciu, a nawet kilkunastu niekiedy, człowiek zaczął odczuwać taką obfitość przedmiotów. Użanie ich posiadania za teden cel egzystencji to nie tylko źródło frustracji, gdy jeszcze nie tak predko dogoniły Amerykę (założy jeszcze którą), ale również przejaw wzniołej pogardy dla tych dwóch tysięcy lat, które upłynęły od narodzin pewnych wzorów życia sporej części Polaków. Chociaż z szacunku dla własnej tradycji warto by się nad tym zastanowić.



**B**yla godzina 18.45. Na moje pytanie skierowane do Wałęsy, czy chciałaby jeszcze dziś urządzić projekt komunikatu, odpowiedział, że tak. Licząc się z tym, że prace nad nim potrwały kilka godzin, zaproponował przerwę w obradach. Przyjeżdżaliśmy propozycję z ulgą, ponieważ wszyscy byliśmy już mocno zmęczeni. Prezydium KKP przeniosło się do hotelu „Solec” i ustaliliśmy, że gdy komunikat będzie gotów, to zawiadomimy ich o tym. Nastąpiła kilkogodzinna przerwa w obradach.

— Co działo się w międzyczasie?

Zespół złożony z przedstawicieli „Solidarności” i rządu pracował, o ile pamiętam, jakieś trzy godziny. Około 23.00 komunikat był gotów. Wałęsa został powiadomiony, że może przybyć do gmachu URM. Przed jego przyjściem, projekt komunikatu pokazałem szefowi rządu, który dokonał w nim nieznacznych poprawek, i to w części, która zawierała stanowisko rządu. Po przybyciu Wałęsy do URM, a nastąpiło to parę minut po 23.00, poprosiliśmy go do swego gabinetu. Przeczytał komunikat, łącznie z poprawkami naniesionymi przez Generala, i skomentował go w wałęsowskim stylu: „No, to nie jest całkiem to, na co czekałem, ale zgoda — przyjmuję”. Nie powiedział, że byłem gotów go uściśnić, ale faktem jest, że przyjąłem to, co usłyszałem od niego, z dużym zadowoleniem. W atmosferze rosnącego napięcia w kraju wspólny komunikat, świadczący, że jednak doszło do porozumienia, to było już coś. Oczywiście, że zdawałem sobie sprawę, że nie będzie to dokument na miarę porozumienia warszawskiego z 30 marca, ale kołatała się we mnie nadzieja, że być może uda się dzięki pomysłom zakończoniu rozmów zahamować fatalny bieg wydarzeń. Wałęsa doszedł do wniosku, że przed przyjęciem komunikatu przez obie delegacje musi go przedstawić swoim kolegom. W przeciagu paru minut znaleźliśmy się w sali, a my w dobrym nastroju, zasiadliśmy w Sali Światłowej oczekując na przybycie delegacji KKP. Po półgodzinnym oczekiwaniu, delegacja wkroczyła na salę. Była godzina 0.10. No, to zaczęliśmy, powiedziałem. I wtedy nastąpiła chwila, której nie zapomnę do końca życia. Głos zabrał Andrzej Celiński, sekretarz KKP. Wyciągnął z kieszeni karteluszek i odczytał następujący komunikat: „W dniu 6 sierpnia bieżącego roku kontynuowane były rozmowy między Komitetem Rady Ministrów ds. Związków Zawodowych oraz Prezydium KKP NSZZ „Solidarność”. Prezydium KKP postanowiło zwołać posiedzenie Krajowej Komisji Porozumiewawczej w Gdańsku 10 sierpnia. Na posiedzeniu tym zostanie przedstawiony przebieg rozmów. Przedstawiciele rządu zostali zaproszeni na posiedzenie KKP”. Koniec, kropka. Autorem komunikatu był Geremek.

Przyznaję, że w pierwszej chwili byłem tym, co się stało tak zaskoczony, że nie wiedziałem jak zareagować. Przecież grupa robocza wspólnie opracowała komunikat, który przeczytał i zatwierdził Wałęsa i ja. Skąd ta zmiana? Cóż, być może nie mniej zdumiony. Zdołał jedynie wykrzusić: „To wspólny?”. Na to Rulewski: „Wspólny, wspólne zaproszenie”. Wywiązał się dialog między nim i mną. Myślę, że warto przytoczyć ten końcowy fragment stenogramu:

M. Rakowski: To nie jest mój komunikat, ja go nie pisałem.  
J. Rulewski: To co tam dodać, Panie Premierze?  
M. Rakowski: Nic.  
J. Rulewski: „że zaproszenie zostało przyjęte”.  
M. Rakowski: Krzyż na drogę, po prostu.  
L. Wałęsa: Ku chwale ojczyzny.  
M. Rakowski: No dobrze, więc wspólny to nie jest. To znaczy, ja się pod nim nie podpisuję, bo nie takiego zakończenia rozmów się spodziewałem. Natomiast Wy możecie taki komunikat dać, opublikować. Rozumiem, że nie został przyjęty ten komunikat, który wspólnie opracowano...”

Oto jak zakończyły się rozmowy, które zgodnie z naszym oczekiwaniami miały przyczynić się do uspokojenia nastrojów w kraju. Jeszcze siedząc na sali zdołałem sobie sprawę z tego, że komunikatem, który odczytał Celiński, delegacja Prezydium dała nam do zrozumienia, iż odrzuca wspólne stanowisko opracowane przez mieszaną grupę roboczą. Czy można było kroku tego nie uznać nie tylko za zerwanie rozmów, ale podeptanie już osiągniętego porozumienia? Opuściłem salę obrad i udałem się w kierunku mojego gabinetu. Po drodze dopadł mnie Paweł Chocholak, który powiedział mi, że przechodził obok sali wówczas, gdy znajdowała się w niej delegacja KKP czytająca projekt grupy roboczej. Zza zamkniętych drzwi niemal po każdym odczytanym zdaniu rozlegał się głośny śmiech. Znacznie później dowiedziałem się, że większość członków delegacji wypowiedziała się za odrzuceniem stanowiska opracowanego przez grupę roboczą. Zaś w okresie pomiędzy pierwszą i drugą turą zjazdu „Solidarności” Ciosek odbył pięciodzienne rozmowy z Lechem Wałęsą. Minister zapytał go wprost: „Panie przewodniczący, niech mi pan powie, dlaczego zerwał pan wówczas te rozmowy?”. Odpowiedź była następująca: „Ach, wie pan, po pierwsze, byliśmy wszyscy zmęczeni, a po drugie — ten Rulewski, Siwów i inni przychepiali się do mnie, oskarżali mnie o miękkość. Ja musiałem pokazać, że jestem twardy”. Nie mam żadnych podstaw do kwestionowania prawdziwości jego wyznania. Wałęsa z reguły był wobec Cioska szczerzy. Znałem wyznania Wałęsy naajutrz po tej rozmowie, ale po raz pierwszy powołałem się na nie publicznie dopiero po wprowadzeniu stanu wojennego.

Zanim poszedłem do siebie, złożyłem sprawozdanie premierowi. Był zaskoczony chyba nie mniej niż ja. Kilkakrotnie ponowił pytanie: dlaczego oni to zrobili? Widząc moje przygnębienie, powiedział: idź, odpocznij, jutro pomyślimy co dalej. Pożegnałem się i po chwili znalazłem się w swoim gabinecie. Usiadłem na fotelu i ciągle powracałem do chwili, gdy Celiński odczytywał komunikat. Nie mogłem się uspokoić. Przecież, mówiłem do siebie, ci solidarnościstowcy, którzy wchodzili w skład grupy roboczej, zgodzili się na tekst komunikatu, zatwierdził go Wałęsa, a więc dlaczego tak postąpili? Na co liczą, do czego zmierzają? Wiedziałem, że fakt, iż rozmowy skończyły się fiaskiem nie uspokoi, lecz jeszcze bardziej pod-

grzeje atmosferę w kraju. Moje rozmyślanie przerwało wejście Wiesława Górnickiego i Jerzego Urbana, którzy od kilku miesięcy należeli do wąskiego grona doradców społecznych. Zaczęliśmy wspólnie biadolić nad powstałą sytuacją. Po upływie kilkunastu minut powiedziałem: no, idę do domu, muszę się wyspać. W tym momencie odezwał się Górnicki: Jak to, szefie, do domu? A komunikat to kiedy napiszemy? Spojrzałem na niego ze zdziwieniem i zapytałem: Komunikat? O czym? No o tym, co się tutaj stało, wyjaśnij Górnicki. Rzeczywiście, nie przyszło mi to do głowy, ale po jego wypowiedzi powróciłem na ziemię. A więc siadamy i piszemy, powiedziałem. Nie minęło pół godziny i komunikat był gotowy. Nie było już sekretarki ani maszynistki, więc Urban zasiadł do maszyny, Górnicki dyktował i około wpół do trzeciej w nocy pospieszyliśmy do premiera, ponieważ było rzeczą oczywistą, że tekst komunikatu musiał być przez niego zatwierdzony. Polską Agencję Prasową uprzedziliśmy już wcześniej, że otrzyma ważny komunikat, który powinien jeszcze dziś ukazać się w porannej

dnia o niczym innym nie mówiono jak o zerwanych rozmowach. Ludzie byli podnieceni, ale mało kto wierzył, że to „Solidarność” zerwała rozmowy. Uważano, że rząd jest sprawcą tego, co zaszło w URM, a ściślej Ty.

Ja też doskonale pamiętam atmosferę tych dni. Zbigniew Lubuk w „Życiu Warszawy” pisał wówczas: „Po zerwaniu przez delegację „Solidarności” rozmów z rządem wśród znacznej części społeczeństwa zapanował szok. Ludzie dają wyraz swojemu oburzeniu, trosce, niepokojom i obawom. Pytają — dlaczego? W jakim celu? Ludzie stawiają proste pytanie co dalej?”. Wiem również, że przez wiele miesięcy wskazywano na mnie jako na sprawcę tego zdarzenia. Taką interpretację podrzucił już w piątek opinii publicznej Onyszkiewicz. W swoim oświadczeniu wydanym w tym dniu (w prasie ukazało się w sobotę 8 sierpnia) rzecznik prasowy KKP stwierdzał, że nieprawdą jest, iż negocjacje zostały zerwane. Oświadczenie wydukurowano w formie ulotki, która w sobotę rano rozdawano w sklepach; jeszcze tego samego

## Czasy nadziei i rozczarowań

# „Solidarność” zrywa rozmowy

MIECZYSLAW F. RAKOWSKI

prasie. O godz. 3.25 jak podało „Życie Warszawy”, Polska Agencja Prasowa przekazała prasie komunikat. Delegacja KKP, która po wyjściu z URM udała się do swej kwatery, prawdopodobnie była w tym czasie pogrążona w głębokim śnie.

„Życie Warszawy” opatrzyło komunikat tytułem: „Rozmowy zostały zerwane — komunikat po spotkaniu z rządem — „Solidarność”. W komunikacie przedstawiliśmy przebieg czwartkowego spotkania i stwierdziliśmy, że po wznowieniu obrad o godz. 0.10, Prezydium KKP „pozwoili sobie na niespotykany dotychczas przejaw arogancji i naruszenia elementarnych zasad rządzących wszelkimi rokowaniami. Bez podania jakichkolwiek przyczyn, w sposób obraźliwy dla rządu, bez żadnego uzasadnienia z przebiegu dyskusji, a nawet bez próby dyskusji nad wstępnie uzgodnionym projektem, Prezydium KKP odrzuciło wspomniany projekt i jednostronnie zerwało rozmowy”. Decyzja o zerwaniu rokowań, stwierdzał komunikat, zapadła w sytuacji, kiedy krajowi groziło nowe, wyniszczające strajki, w tym również regionalne strajki powszechne, a także graniczące z sabotażem akcje wstrzymywania eksportu. Ocena decyzji Prezydium KKP była bardzo surowa. „Stanowi, czytamy w komunikacie, zasmakujący przykład nieodpowiedzialności i rozmyślnego działania na niekorzyść oczywistych dla każdego Polaka interesów państwowych, społecznych i narodowych... Rząd nadal, jak poprzednio deklaruje swą gotowość do współdziałania ze wszystkimi związkami zawodowymi na zasadzie partnerstwa i szerokiej współpracy. Kierując się jednak nadrzędnym interesem państwa polskiego jako wspólnego nam dobra wszystkich obywateli, rząd nie może poddawać się dyktatowi. Rząd Rzeczypospolitej dysponuje wystarczającymi środkami dla ochrony swych obywateli i zdecydowany jest zapobiec prowokowaniu anarchii oraz kontynuowaniu działań zagrażających stabilności państwa”.

— Twardy to był język. Ale może powrócimy jeszcze na chwilę do końcowej fazy rozmów. Powiedziałeś, że na gotowy projekt wspólnego komunikatu szef rządu naniósł pewne poprawki. Czy przypadkiem nie stały się one przyczyną tego co zaszło?

Język był podyktowany przez sytuację. Co się zaś tyczy poprawek, to przecież ja zwróciłem uwagę, że takie nastąpiły i to w części rządowej. Muszę tu wyjaśnić, że komunikat składał się jakby z trzech części. Pierwsza przedstawiała stanowisko rządu, druga „Solidarności”, a trzecia wspólny pogląd obu stron na daną sprawę. Kiedy powiedziałem o poprawkach, Kurowski zareagował bagatelizując je. „Było tam pewne zniekształcenie”, powiedział Onyszkiewicz w kilka dni później owe zniekształcenia podniósł do rangi „dość istotnych zmian”. Trzeba było ratować honor domu! Zresztą, gdyby delegacja KKP uznała, że w projekcie komunikatu dokonano istotnych zmian, to mogły one jeszcze stać się przedmiotem dyskusji. Takie zwyczajnie panują przecież na wszystkich tego rodzaju konferencjach. Co więcej, taka sytuacja powstała wówczas, gdy podpisywaliśmy porozumienie warszawskie. Wówczas już po przygotowaniu przez grupę roboczą projektu porozumienia na sesji plenarnej obie strony wniosły jeszcze poprawki. Nie, to nie poprawki spowodowały taką reakcję. Wydaje mi się, że Prezydium KKP wsłuchując się w treść czytanego na owej sali projektu komunikatu uświadomiło sobie, że będzie on przez masę członków odczytany jako dowód współdziałania, żeby nie powiedzieć współpracy z rządem. A takich „podejrzeń” przywódcy „Solidarności” bali się jak ognia. Przypominam sobie wypowiedź jednego z publicystów Związku, który omawiając nasze stałe postulaty, pisał, że powraca w nich wulgarna idea współodpowiedzialności.

— Wiadomość o zerwaniu rozmów rzeczywiście zbulwersowała opinię publiczną. Pamiętam te dni. W piątek 7 sierpnia i w następnych

dnia zaprzestano kolportażu. Onyszkiewicz dowodził, że o zakończeniu rozmów „zdecydował zresztą bezapelacyjnie wicepremier Rakowski, po odrzuceniu kontrprojektu wspólnego komunikatu przedstawionego przez Prezydium KKP”. Interpretacja Onyszkiewicza została natychmiast przejęta przez różne ognia „Solidarności”. Onyszkiewicz stwierdzał także, że niedopuszczalne jest traktowanie „niezgody KKP na tekst pierwszego projektu wspólnego komunikatu jako przejawu arogancji lub zniewagi rządu PRL. W równoprawnych rokowaniach każdej ze stron wolno wyrazić taką niezgodę”. Oczywiście, że wolno, ale rzecz w tym, że przewodniczący zaakceptował treść komunikatu, a delegacja KKP ani jednym słowem nie wyjaśniła, dlaczego wyraża ową „niezgodę”. Natomiast nazwanie jednostronnego informacji odczytanej przez Celińskiego „kontrprojektem wspólnego komunikatu” było czymś więcej niż nieporozumieniem. Było kolejną ilustracją arogancji, jaka cechowała przywódców „Solidarności”. Ipiną z przyjętych w cywilizowanym świecie zasad negocjacji. Oświadczenie rzecznika prasowego KKP było jednak defensywne i dość nieporadne. Widać było wyraźnie, że szefowie „Solidarności” zostali zaskoczeni naszą ofensywnością. Widocznie nie spodziewali się jej. Wręcz humorystycznie zabrzmiało stwierdzenie, że „w dalszym do przeprowadzenia kryzysu gospodarczego, społecznego i politycznego Związek nasz zdany jest w obecnej chwili na własne siły”. Biedacy! Kilkadziesiąt godzin rozmawialiśmy o tym, co należy uczynić dla przeprowadzenia kryzysu, doszliśmy do wspólnych postanowień, Prezydium KKP je odrzuciło i teraz sami muszą dźwigać ciężary!

Rzecznik rządu odpowiadając Onyszkiewiczowi wskazał, że usiłuje on przemycić nieprawdę, ponieważ mówiąc o niezgodności Prezydium KKP „na tekst pierwszego projektu wspólnego komunikatu” sugeruje, że było ich więcej... A był przecież tylko jeden wspólny. Rzecznik zwrócił także uwagę, że sformułowanie „komunikat” może być mylące, ponieważ w istocie rzeczy było to wspólne stanowisko wynegocjowane w ciągu 2-dniowych rozmów.

Przypominam i komentuję nawet drobne zdania, ponieważ apologety „Solidarności”, a zwłaszcza jej zespołów przywódczych, odwracając historię tamtych dni, tygodni i miesięcy z przedziwną łatwością przechodzą obok spraw i wydarzeń, które niejednego Polaka mogłyby skłonić do głębokiego zastanowienia się nad postępowaniem przywódców „Solidarności”. Istnieje takie niemieckie przysłowie: „Der Teufel liegt in Kleinigkeiten”, czyli, że diabeł tkwi w szczegółach.

Do sobotnich dzienników przekazał „Dokumenty z rozmów między rządem a „Solidarnością”, a więc wspomniane wspólne stanowisko opracowane przez zespół roboczy oraz „Stanowisko strony rządowej” zawierające uporządkowane i uszeregowane pytania i postulaty zgłaszane przez nas połącznym popołudniem w dniu 6 sierpnia. Co się tyczy powtarzanego po zerwaniu rozmów argumentu, że załadaliśmy do „Solidarności” rezygnacji z działalności politycznej, to pierwsze zdanie „Stanowiska strony rządowej” brzmiało: „W szczególności rząd oczekuje: 1. Odstąpienia Związku od działań politycznych wykraczających poza jego statutowe zasady”. A więc mowy nie było o rezygnacji ze wszystkich działań politycznych. Warto też zwrócić uwagę, że „wspólne stanowisko” zaproponowane było duchem kompromisu. Dla przykładu zacytujmy tylko jeden jego fragment: „Uzgodniono, że NSZZ „Solidarność” uczestniczyć będzie w społecznej kontroli produkcji i dystrybucji żywności i powoła w tym celu kontrolerów społecznych, którzy działając będą zgodnie z przepisami o społecznej kontroli związkowej. Właściwe organa udzielać będą wskazanym przez „Solidarność” kontrolerom społecznym upoważnień”.

W sobotę wieczorem w telewizji wystąpił z mową obrończą Mazowiecki, który obok funkcji

doradcy Wałęsy był także redaktorem naczelnym „Tygodnika „Solidarność”. Bagatelizował to, co się stało owej nocy w budynku URM, mówił o zmniejszeniu uczestników obrad itp. Stanowisko negocjatorów rządowych przedstawił w telewizji Jerzy Urban, który precyzyjnie wypunktował wszystkie słabe miejsca w argumentacji przywódców „Solidarności”. Wypowiedź Mazowieckiego skłoniła mnie do udzielenia PAP wywiadu, w którym raz jeszcze przedstawiłem tło i okoliczności, w których doszło do spotkania, jego przebieg itp. Może z relacji tej zacytuje tylko końcowy jej fragment. „Takie rozmowy, powiedziałem, to nie gry ani zabawy, które urządziła na boisku rozbrzykana klasa szkolna. Nie zgodzę się nigdy na pomiatanie rządem i jego przedstawicielami. Zbyt długo nie posiadaliśmy własnego państwa, zbyt wiele ofiar pochłonęła walka o odzyskanie państwa, aby można było milcząco przechodzić obok pogardliwego stosunku niektórych ludzi do istniejących struktur władzy, w tym także do rządu. Rząd... nie jest i nie będzie chłopcem na posyłki, ani też nie będzie przyzwalał na tego rodzaju traktowanie go, jak to miało miejsce w nocy z 6 na 7 sierpnia. To nie ma nic wspólnego z duchem i literą partnerstwa. I nie zgadzamy się na prawdziwą krzykliwość i demagogiczną organizowaną akcją protestów, zasypywanie kraju ulotkami, plakatami itp.”.

W następnych dniach akcja ta przybrała wielkie rozmiary. Na moim biurku każdego dnia piętrzył się stos teleksów, zawierających protest przeciwko zerwaniu rozmów przez... rząd. Szczyty przebiegały faktów osiągnął Region Mazowsze. 3 albo 9 sierpnia w Warszawie kolportowano ulotkę, w której przeczytałem, że „w czasie rozmów zaatakowano nas arogancko i żądano, abymy się wyrzekli wszystkiego, cośmy wywalczyli od sierpnia. Następnie zaproponowano nam, abymy pomogli rządowi naganając ludzi do zdwojonego wysiłku na głodniaka. Wreszcie żądano od nas, byśmy podpisali komunikat, który skrzętnie wyliczał wszystko, co miał nam do powiedzenia wicepremier Rakowski, i skrzętnie przemilczał wszystko, co myśmy mieli do powiedzenia władzy”. Co zdanie to kłamstwo. Utkwiło mi też w pamięci oświadczenie MKZ NSZZ „Solidarność” Ziemi Nyskiej. Jego autorzy pisali m. in.: „W rzeczywistości odpowiedzialność za zerwanie rozmów, z którymi całe społeczeństwo wiązało ogromne nadzieje, spada na rząd, który odrzucił konstruktywne propozycje Związku bez żadnego umotywowania”. Była to nader charakterystyczna reakcja, zresztą nie pierwsza. Nierzadko poszczególne ognia „Solidarności” protestowały nie wnikając w ogóle w istotę sprawy.

Pojawiły się jednak głosy rozsądku. 8 sierpnia otrzymałem list podpisany przez Prezydium Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” przy hucie „Koścłuszko”, którego autorzy pisali m. in., że biorąc pod uwagę niezwykle napiętą sytuację polityczną w kraju, spowodowaną zerwaniem rozmów między komisją rządową a Prezydium KKP w dniu 6.08.81, Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” zrywa w imieniu ponad 3-tysięcy swoich członków obie strony do kontynuowania rozmów i tym samym rozładowania aktualnej sytuacji”. Odpowiedziałem autorem listu za pośrednictwem PAP zapewniając ich, że „nie leżało w interesie rządu wstanie od stołu z pustymi rękoma i że jestem głęboko przekonany, iż miliony członków „Solidarności”, a także działacze Waszego Związku, pragną współpracy a nie walki, osłabiania i likwidowania napięcia, a nie ich mnożenia”. Uważam, że była to trafna ocena sytuacji. Poinformowałem autorów listu, że roboczy projekt porozumienia, przeciwieństwo przez stronę rządową odrzucony, leży na stole. Wystarczy złożyć pod nim podpis. „Na stole, dodałem, leży także lista pytań i problemów, które przedstawiliśmy Prezydium KKP i na które winniśmy otrzymać odpowiedź”. To, co napisałem, nie było oczywiście, przeznaczone tylko dla Komisji Zakładowej „Solidarności” huty „Koścłuszko”.

Powracając jeszcze do mojej roli w tym zdarzeniu. Zarzut, że to ja zerwałem rozmowy powtarzał się na każdym kroku. Nie odczuwałem go wówczas zbyt boleśnie, ponieważ to nie ja po wielogodzinnych rozmowach wyciągnąłem z kieszeni karteluszek i to nie ja zaproponowałem dwuzdaniowy komunikat.

Nie ulega wątpliwości, że zachowanie się kierownictwa „Solidarności” podczas tych sierpniowych dni było wręcz skandaliczne. Zakładam, że wówczas, gdy odrzucali wspólnie opracowany komunikat nie wzięli pod uwagę, iż nasza reakcja może być tak stanowcza i jednoznaczna. Nie pomyśleli także o tym niektórzy doradcy. Widocznie zabrakło im wyobraźni. Nic zatem dziwnego, że w dniach po zerwaniu rozmów postanowiono porażkę obrócić w sukces. Trzeba było więc wejść na wielokrotnie już wypróbowaną drogę, tj. wskazywania na rząd jako winnego. Czyniono to świadomie, ale chyba z niezbyt czystym sumieniem. Znacznie później dowiedziałem się, że szczególnie wśród doradców istniały różnicowane opinie o tym, co zaszło w budynku Urzędu Rady Ministrów tej sierpniowej nocy. Byli np. wśród nich tacy, którzy uważali, że delegacja „Solidarności” — wśród której był wódcą wówczas Rulewski — odrzucając komunikat, w wielu fragmentach korzystny dla Związku, postąpiła impertynencko, wręcz po chamsku i że reakcja strony rządowej była jak najbardziej prawidłowa i całkowicie uzasadniona. Na miejscu Rakowskiego, powiedział jeden z doradców, postąpiłbym tak samo. Inny był zdania, że niepodpisanie komunikatu było błędem dyplomatycznym. A jeszcze inny stwierdził, że to co uczyniło kierownictwo „Solidarności” było katastrofalnym błędem.

No tak, ale tego rodzaju oceny nie były wówczas znane opinii publicznej. Ja karmiono zgola inną strawą. Jestem zdania, że dziś gdy upłynęły już cztery lata od tego wydarzenia, fakty te powinny być znane społeczeństwu, w imię zachowania wierności dla prawdy.

C.D.N.







— Kolejny zegarmistrz światła... — burzałem pod nosem brnąc przez długie podwórko. Adres się zgadzał, sztyl również. Pchnąłem drzwi wejściowe. I znalazłem się w innym świecie — ze ścian i półek cikały, skrzyptały i miarowo przesyływały czas zegary. Niektóre niewątpliwie były antykami — nawet dla laika, a w powietrzu unosiła się jeszcze delikatna, ledwie wyczuwalna woń staroci, kurzu, będąca swoistą mieszaniną zapachu muzeum i ulubionych zakątków na strychu. Tym bardziej, że na półkach stały jeszcze zdezolowane radia, jakieś stare patefony, a nawet... obudowa katarzynki. Tylko spod sufitu przyglądały mi się cztery czerwone, rubinowe „oczka”, jakby czujniki, zdawały się kontrolować każdy mój ruch. Domyślałem się raczej, bo wolałem nie sprawdzać, że to jakaś precyzyjna instalacja antywłamaniowa...

— Słucham pana... — facet musiał wyjść niepostrzeżenie z pomieszczenia obok, może stał za ladą dłuższą chwilę, ale ja dostrzegłem go dopiero w tym momencie.

— Ja do pana Krzysztofa... — wybaknąłem zaskoczony nieco.

— To właśnie ja, słucham... — niby rozmawiał ze mną, ale zegarmistrzowski „kurier” w oku trzymał i tylko palce mu przy całkiem rozrebranym zegarku migaly.

— Chciałbym porozmawiać, z gazety jestem... — nieporadnie zacząłem tłumaczyć cel wizyty. Mężczyzna przestał przebiegać palcami, a nawet zerknął na mnie normalnie, bez tej lunety w oku.

— Wal pan dalej, czyli zapraszam do mojego królestwa.

— Te czerwone ślepa — to pewnie alarm?

— Coś w tym rodzaju. Teraz jest w stanie gotowości tylko...

— A na cóż on reaguje?

— Po naszym wyjściu z firmy — na ruch powietrza wewnątrz. Ale on nie tylko potrafił wyć. Wmontowałem w cały system automat telefoniczny, który nie tylko mnie zawiadamia o — powiedzmy — włamaniu, ale na moje wywołanie odpowiada umówionym sygnałem, że wszystko w porządku...

— Sam go pan wykonał?

— Sam zaprojektowałem, wykonałem wspólnie z moimi pracownikami. No, ale zapraszam dalej...

Firma mieściła się w bodaj sześciu sąsiadujących ze sobą pokojkach. Każdy ma inne przeznaczenie: w jednym — istny magazyn części zamiennych, obok szlifiarki, tokarki, drugi — przypomina trochę pracownię stolarską, trochę — malarzką, w trzecim — kilku ludzi pochyliło nad stołami walczą z opornymi śrubkami, sprężynami w cykających mechanizmach. A dalej aż mnie zatkało, kilka półek zastawionych dużymi zegarami kominkowymi i wyjątkowej wprost urody. Niektóre pracowały, o czym świadczyły miarowe ruchy wahadeł, inne — częściowo rozmontowane, zdawały się czekać na opiekunów, udrzucając rękę mistrza, który technię w nie znów życie...

— Prawda że piękne? — pan Krzysztof nawet głos jakby stonował nieco w obliczu przemijających wieków. — To oryginały, z Łańcuta.

Przenieśliśmy się do kolejnego pomieszczenia, gdzie mogliśmy spokojnie zagłębić się w pogawędkę o ludzkich pasjach i odkrywaniu samego siebie.

— Zawsze lubiłem wszystko rozkręcać, każdy mechanizm, który się tylko pod rękę nawinął. I dlatego chyba mogę śmiało powiedzieć, a pochodzę z rodziny muzycznej — mnie też „pošlo w palce”. Te dziecięce zabawy zostawiły jednak jakiś ślad, a może raczej były przedsmakiem czekających mnie atrakcji. A tak naprawdę, to za moją ukochaną dubaninę wziąłem się poważnie w momencie, gdy zepsuła mi się automatyczna pralnia. Zdenerwowany, rozbrałem ją niemal w drobny mak — i naprawiłem. A potem zacząłem wszystko wszystkim naprawiać: ciotce telewizor, wujkowi pralkę, sąsiadce lodówkę i drugą... również i wie pan — udało mi się, to może trochę śmiesznie brzmi, ale naprawdę potrafiłem te nieszczęśliwe pralki reperować!

— To dlaczego pan tego nie czyni do dziś?

— Dość szybko przestało mnie to bawić. Wie pan, od tej przyziemnej, merkantylnej strony to może i korzystnie w jednym temacie się specjalizować, ale ja zawsze lubiłem to nowe, nieznanie; coś panu pokażę...

Gospodarz zniknął na chwilę, by powrócić z dwoma sporymi, kieszonkowymi zegarkami. Naciśnął gdzieś ukryty kuzik i z cichym pyknięciem odskoczyło srebrne wieczko, później drugie, wewnętrzne.

— Ten większy — to angielski Arday, z Londynu konkretnie, koniec XVIII wieku. Kapitalnie zdobiony, nawet w tych niewidocznych z zewnątrz miejscach. To replika jeszcze starszego zegarka; on, można rzec — udaje starszego niż jest. Ale wtedy ja biorę 20-krotną lupę i widzę, że ma śrubki maszynowo produkowane, a nie ręczne, czyli starszy niż powiedziałem być nie może. Ten drugi to też cacko. Producent był na tyle sprytny, może zadrósny o swe tajemnice, a może też chciał ukryć prawdziwy wiek zegarka, że wszystkie wewnętrzne mechanizmy trzeba montować od strony... tarczy. A z drugiej strony są tylko różne „ślepa” śrubki, których odkrywanie nie nie da...

— Rozbrał go pan?

— Oczywiście, bo musiałem go naprawić i to jest to „nowe”, o którym wspominałem. Gdy odkryje sekret jego wykonawcy, mistrza sprzed 200 czy 300 lat, czuje się tak jakbym stawiał swoje stopy w jego ślady. To jest dla mnie największa satysfakcja: zrozumieć idee ówczesnego zegarmistrza, zrozumieć „duszę” zegara i przywrócić mu utraconą świetność.

— Przez delikatność nie będę pytał o cenę ani właściciela tych cudowności...

— Tajemnica zawodowa nie pozwala mi ujawnić osoby, a co do ceny to nie potrafię się o wiele, jeśli ocenię je łącznie na kwotę 400—450 tysięcy złotych...

Rozmowę przerwał ostry dźwięk znad drzwi wejściowych — znak, że pojawił się jakiś klient. Krzysztof Jędrzych przeprosił, wyszedł,



ale ja — przynajmniej — łowiłem uchem fragmenty rozmowy. Kobięcy głos dopytywał się o termin naprawy zegara.

— Mam dla pani dobre nowiny — mój rozmówca rzeczywiście sprawiał wrażenie zadowolonego — udało się odtworzyć bezbłędnie całą podstawę i skleić te nieszczęśliwe kolumniki. Myślę, że za miesiąc będzie jak nowy, ale proszę wcześniej zatelefonować, to ustalimy dokładnie termin.

— Oj, to nawet wcześniej, niż się spodziewałam, bardzo dziękuję, będziemy w kontakcie...

Jędrzych wrócił do pokójki i widząc mój pytający wzrok od razu wszedł w temat:

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

## Zegarowe fascynacje

— Piękny, klasycystyczny, XVIII wiek, ale spadł im zdaje się z półki, mechanizm miał też już zniszczony. Ale to nic, będzie naprawdę jak nowy...

— Czy pierwszym pańskim zegarem był ten ratuszowy z łódzkiego placu Wolności? On i kuranty rozstawiły pana nie tylko w Łodzi chyba?

— Można i tak powiedzieć. Bo gdy przeczytałem w popołudniówce o „milczących kuranach” — zdecydowałem się błyskawicznie. Zatelefonowałem do prezydenta Niewiadomskiego, zaproponowałem uruchomienie kurantów, prosząc o późniejszą pomoc w zdobyciu lokalu dla mojej działalności, bo te nieszczęśliwe pralnice naprawiałem wówczas w piwnicy w bloku na Widzewie-Wschodzie. Prezydent przystał na propozycję, dostałem specjalny giejt, który miał mi pomóc w zdobyciu niezbędnych części, głównie chodziło o elektronikę i zabrałem się do roboty. Zbudowałem specjalny układ pamięciowy, bo o komputerach nie było jeszcze wówczas mowy. 50 układów scalonych, 200 tranzystorów i 9 generatorów dźwięku — to serce urządzenia. Wyremontowałem zegar, ustalając przy okazji, że powstał w 1885 roku w Jeleniogórskiej firmie Melliingera. Wszystkie prace trwały około półtora roku i na wiosnę 1983 działał już odnowiony mechanizm zegarowy, a nad placem znów rozbrzmiewała „Prądniczka”.

— Tak, to była piękna akcja. Ale nie bał się pan ryzyka? Przecież większość, powiedzmy delikatnie, praktyki pan nie miał?

— Byłem przekonany, że się uda. Bez fałszywej skromności mogę powiedzieć, że jestem tak zwana „złota rączka”. Przecież ja tu naprawiam obok starych zegarów i sprężynowe patefony i pozytywki, barometry, katarzynki. Wykonywałem już kompletne instalacje elektryczne w szkołach, instalacje przeciwwłamaniowe, m.in. w muzeach, gdzie montuję takie jak u mnie unikalne czujniki „strzegące” całą objętość pomieszczeń, robimy rozmaite instalacje niskich napięć, w około 100 szkołach działa mój komputerowy „woźny”, naprawiam wózki inwalidzkie, w ogóle wszelki sprzęt ortopedyczny, kończę renowację dużej serii antycznych zegarów dla muzeum w Łańcutie...

— Powoli, powoli panie Krzysztofie, bo się pogubię, strasznie duży ma pan „rozrzut” w działalności.

— Ale to jeszcze nie wszystko, bo marzą mi się renowacje czy nawet kompleksowe odwo-

zenie dużych zegarów wieżowych, a powoli zbieram materiał do książki...

— ...która będzie o?

— O czasie, o zegarach, o przemijaniu, ale nie złożę jej wcześniej nim przejdę na emeryturę, więc jeszcze zdążę trochę doświadczeń zebrać. A te zbieram gdzie się da: naprawiając starocię, grzebiąc się w starych fachowych wydawnictwach i to z różnych branż pokrewnych, korespondując ze zbieraczami...

Pan Krzysztof odwołany został na chwilę tym razem przez któregoś z pracowników. Przez uchylone drzwi słyszałem, że ustalali jakieś szczegóły dotyczące... pozłacania czegoś tam!

Czyżbym się przesiąszał? My tu o książkach, starociach, a tu się alchemia kłania niemałże. Ano, zobaczmy. Wrócił mój gospodarz po paru minutach tasząc jakiegoś księżki fachowe i tęczką pękającą od korespondencji.

— Nawet do ambasady chińskiej pan pisuje? — z teściu wysunęła się kopia jakiegoś sążniste go pisma.

— Między innymi. Przeglądając po bibliotekach wyczytałem, że choć za twórcę pierwszego zegara mechanicznego uważa się powszechnie Auvillara, późniejszego papieża Sylwestra II, to jednak niektórzy sugerują jakoby wcześniej, w 724 roku podobnego wynalazku dokonał chiński uczoney — Liang-Lin-can. I w tej sprawie napisałem do chińskiej ambasady. Czekam na odpowiedź. Zbieram dokumentację o angielskim „Big-ben”, słynnym kremleńskim zegarze z wieży Spasskiej, dostałem już sporo danych i materiał zdjęciowy z muzeum laterańskiego w Watykanie. Wielokrotnie ogłaszałem się w różnych czasopiśmie, prosząc by właściciele ciekawych starych mechanizmów dali znać. Przyjadę, zrobię dokumentację, postaram się naprawić, uruchomić.

— Rozumiem, że mogą to być również osoby, które wiedzą cokolwiek o starych zegarach.

— Oczywiście i kilka takich sygnałów miałem. Jeden dotyczy zegara w Krośniku, drugi — w Gidlach, gdzie natrafiono na zagadkę: zamurowany zegar. Ale za wcześniej jeszcze mówić o szczegółach...

— Wspomniał pan coś o arcydziele pracy w Gdańsku?

— Tak? Trochę wcześniej się wygadałem, bo jesteśmy dopiero na etapie konsultacji. Ale uchylił rąbka tajemnicy: w bazylice Najświętszej Marii Panny znajduje się unikalny, wnętrzu zegar astronomiczny, stworzony — niech pan teraz uważa — w latach 1464—1470 przez toruńskiego mistrza Hansa Doringa. To prawdziwe чудо, ponad są jeszcze dwa takie same na świecie, z tego jeden, niezłe zachowany — w Rostoku, i to jest nasza szansa, bowiem z gdańskiego niewiele dziś zostało.

— A cóż pokazywał ten astronomiczny zegar?

— Masę danych dostarczał: znaki zodiaku, fazy księżyca, dni tygodnia, miesiąca, pokazywał także święta ruchome i nieruchome, oczywiście godziny. Były tam i kompozycje figur apostołów, Adam, Ewa, ale do dziś zachowały

się zaledwie fragmenty kilku figur, parę sześciu, trzy zegarowe tarcze. Mechanizmu nie ma od dawien dawna, ponoć usiłował zegar uruchomić Heweliusz, ale mu się nie udało...

— I ten chciałby spróbować?

— To fascynujący temat, jeśli gdańszczanie zdecydują się na odtworzenie zegara i powierzenie prac mnie, byłbym szczęśliwy. Przecież z pewnością nikt na świecie takiej roboty jeszcze nie wykonał! Te pięćset lat robi wrażenie...

Tym razem dzwonek nad drzwiami dziwnie długo sygnalizował czyjąś obecność, jakby ktoś wszedł i stanął w progu. Pan Krzysztof wyszedł, dobiegły mnie podniesione głosy, po chwili sygnał się urwał, a gospodarz pojawił się dziwnie wzburzony.

— Aaa, nie takiego, czasem i tacy się zjawiają. Na pół litra im zabrakło, więc wynieśli pewnie z domu stare radio i u mnie chcieli spieniężyć...

— Panie Krzyszto, korespondujesz pan widzę z całym światem. Tu znów jakieś listy i druki firmowe z RFN, Wielkiej Brytanii, Grecji. Tam też pan starych zegarów szuka?

— Też, ale to nieco inna historia. Jak mówiłem — wciąż mnie fascynuje nowe. Postanowiłem więc wystartować z własną propozycją proekspertową: pod przypadkowo zdobyte adresy w kilku krajach wysłałem oferty wykonania napraw czy serwisów starych zegarów, głównie wieżowych, proponując wykonanie nawet mechanizmu do konkretnego obiektu, a także replik różnych staroci.

— Był odzew?

— I to duży. Interesują ich miedzy innymi repliki starych zegarów, ale — co zrozumiałe — proszą o dokumentację i serwis zdjęciowy. I właśnie takie dwie repliki będę robił.

— Cóż to będzie, można wiedzieć?

— Oczywiście. Pierwszy to angielski, etażowy Maple, z początku ubiegłego stulecia. Ciężki i solidny niczym Rolls-Royce, bogato zdobiony, wygrywający na osmiu dzwonkach dwie różne melodijki. Drugi — to francuski kominkowy Rolland z końca XVIII wieku, finezyjny w linii, niesłychanie precyzyjny.

— No dobrze, ale skąd tu u pana w pracowni te piękne oryginały?

— To jeszcze inna historia. Na którąś z moich ofert odezwało się muzeum w Łańcutie, zgłaszając potrzebę przeprowadzenia renowacji około 30 zegarów. No i podjąłem się szalonej pracy. Szalonej, bowiem gdy na świecie dubie się takie roboty miesiacami, latami nawet, ja w dwa miesiące chciałem na początek przywrócić dawny blask jedenastu. I o mały włos by się udało, dziewięć zdążyłem oddać w terminie. A zakres robót był bardzo rozległy, ale nie liczyliśmy godzin ani ja, ani moich sześciu pracowników.

— Trzeba było też wykonywać roboty złotnicze?

— Owszem, między innymi.

— A jaką techniką? I skąd to złoto?

— Aaa, to o to panu chodzi! Cóż, technika złoceń ogniołowa. Więcej nie mogę powiedzieć. Recepturę udało mi się wysnąć, ale nie chcę szczegółów podawać, bo wiem, że technika ta jest szczególnie szkodliwa dla zdrowia.

— Wspomniał pan o naprawach wózków inwalidzkich, tu widzę reklamę, iż naprawia pan sprzęt podopiecznym Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej. Która to już dziedzina pańskiej działalności?

— Nie liczę. Chciałem kiedyś zelektryfikować wózek takimże niepełnosprawnemu dziecku. Nie udało się — to znaczy sprawa rozbiła się o brak odpowiedniego silnika elektrycznego. Ale temat mi wciążął. Te naprawy i to wszelkiego sprzętu, wykonujemy bezpłatnie i początkowo byliśmy faktycznie zawalenii głównie telewizorami i radiodiodami. Teraz sprawa jakby się wyhamowała, nie wiem, może nie ma odpowiedniej reklamy naszych usług ze strony opiekunek PKPS?

— Słyszałem, że chce pan jakiś pomysł zająć na forum Sejmu?

— Spróbuję, chciałbym zainspirować uchwałę o dyspensie podatkowej dla rzemieślników świadczących pomoc charytatywną. Byłaby to analogia do przedsiębiorstw państwowych świadczących na rzecz stowarzyszeń wyższej użyteczności.

— Przyszedł pokaż, ale na dzień dzisiejszy utrwili pan na dłuższą starość?

— Chyba tak, tu nie ma stagnacji, nie ma miejsca na rutynę. Czekam na wiadomości z Łańcuta, z Nowej Soli, gdzie też znajduje się muzeum zegarów, jeszcze czeka mnie robota w Koninie...

— A cóż tam dla odmiany?

— Skończyliśmy kompleksową naprawę zegara ratuszowego ze Starego Konina. Jest już gotów, tarczę odmalowane, mechanizm działa jak nowy, ale czekamy na zakończenie remontu samego ratusza...

— Panie Krzysztofie, niech mi pan na zakończenie powie jedną rzecz jeszcze: firma niby młoda, ale pełna niesłychanie, doskonale dająca sobie radę z szeroką gamą przedsięwzięć bez grona kooperantów, firma z wielkimi ambicjami, planami eksportowymi. To czym się ta firma oficjalnie zajmuje?

— Czytam z zezwolenia: konserwowanie i renowacja przedmiotów zabytkowych i artystycznych.

— A liczył pan ile tu reprezentuje zawodów?

— Nie, ale zaraz wspólnie możemy taki rachunek sumienia wykonać. To zaczynamy: mechanika precyzyjna, ślusarstwo, polichromowanie, stolarstwo, kowalstwo, rzeźba w drewnie, lakiernictwo, elektroinstalatorstwo, elektronika, szklarstwo ze szlifowaniem, polzotnictwo, galvanizacja, fotografia, chemia, zegarmistrzostwo. Ile naliczyliśmy? Piętnaście. To chyba wszystko... Aha, może pan jeszcze dopisać: prace wysokościowe. Tak, tak parę razy przy demontażu zegara z wieży udało mi się odpasć od ściany. Ale to już zupełnie inna historia...

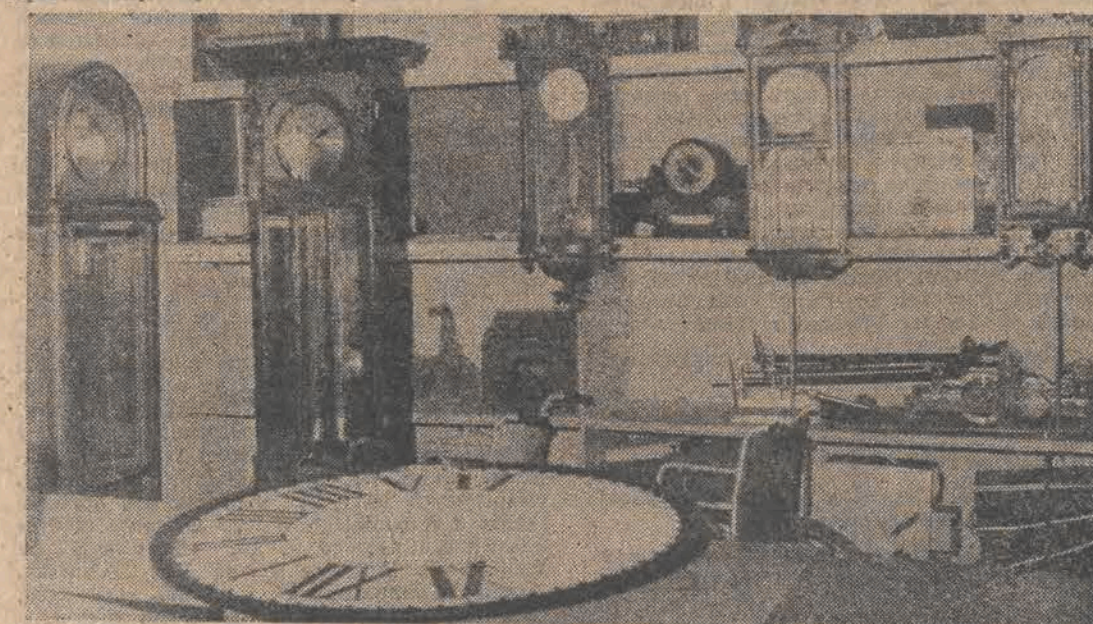


Foto: Grzegorz Gałasiński



Wszystkiego mogli się spodziewać, ale żeby im blok przed samymi balkonami... Dokładnie tam, gdzie dopiero niedawno zrobiono śmietnik i mały parking, a miały być jeszcze trawniki i plac zabaw dla dzieci. Od południa, Toż ani słońca w mieszkaniach na dole — wolał oburzeni — ani widoku ładnego! Chyba że kto lubi zaglądać w obłady sąsiadom, bo nawet i lornetki nie będzie pewno trzeba — tak blisko. Jak tylko budowlani zaczęli, gdzie kopać pod fundamenty, ci z pięćdziesiątego pięta wzięli miarę i wyszło im 22,5 metra. I to nie po skosie, a na wprost, okna w okna. Widać, że jest w porządku? Przecież są chyba jakieś normy, przepisy? A choćby i na zdrowy rozum...

I dlaczego nikt im oficjalnie nie powiedział, że dostawiane będą jeszcze jakieś bloki? Na kolorowym planie, który stoi dumnie przy wejściu do osiedla, nie są wcale zaznaczone. Pierwotnie, widać, projektowane nie były. Widać, że jest w porządku, żeby przed ludźmi robić taką konspirację? No, bo gdyby przypadkiem nie zgadali się z doradcą, nikomu nie przyszłoby to nawet do głowy.

A dowiedzieli się w ostatniej dosłownie chwili, żeby jeszcze coś zrobić, pod sam koniec kwietnia. Zaraz potem budowlani wbił w ziemię paliki. Tak, że nie zostawało już nic innego, jak napisać do komitetu osiedlowego, do władz miasta i do dyrektora kopalni, zebrać podpisy z pięćdziesiątego pięta, pięćdziesiątego siódmego i pięćdziesiątego ósmego i zanieść. Napisać, że nie chcą tego punktowca tuż przed swoimi oknami, że kilkaset dzieci nie ma w pobliżu prawdziwego placu zabaw, że jeszcze trudniej im będzie w takiej ciasnocie.

Napisali i czekają — może ktoś odpowie, przyjdzie porozmawiać, wyjaśnić, podejmie uwzględniającą ich głos decyzję.

## A MIAŁO BYĆ TAK PIĘKNIE

W 1971 roku, kiedy Belchatów był jeszcze bardziej prowincjonalnym, niespełna dziesięciotysięcznym miasteczkiem powiatowym, ale już wiele mówiło się o przyszłym zagłębiu węglowym, Stowarzyszenie Architektów Polskich ogłosiło ogólnokrajowy konkurs na projekt urbanistyczny belchatowskiego osiedla mieszkaniowego Dolnośląska. Wpłynęło dziesięć prac. Wybrano spośród nich (i nagrodzono!) pracę numer 4, której autorami byli trzej łódzcy architekci: Jerzy Sadowski, Henryk Wachowiak i Janusz Wyżnikiewicz.

Projekt przewidywał, że osiedle przypominać będzie w wyglądzie piramidę. W jego centrum dominować miały jedenastokondygnacyjne wysokościowce, wokół nich — typowe bloki czteropiętrowe, na obrzeżach zaś — szeregowie domki jednorodzinne. Ulic w tradycyjnym tego słowa znaczeniu nie planowano. Zastąpić je miały tak zwane ciągi pieszo-jezdne, co oznaczało, iż mieszkańcy osiedla zostawiać będą swoje cztery kółka na wielkich parkingach zlokalizowanych na rogach piramidy. W środku miał być spokój, wolne od spalin powietrze, bezpieczne dojścia do domów.

Ponieważ myślano już o reformie oświaty, projekt zakładał zbudowanie dużej szkoły srodowskiej dla klas od czwartej do dziesiątej oraz czterech szkół elementarnych, gdzie uczyłyby się młodsze dzieci. Miały być też cztery wielkie pawilony handlowe, osiedlowy dom towarowy, bogate tereny rekreacyjne (plac zabaw, boiska, baseny), dom spokojnej starości, ośrodek zdrowia i inne potrzebne obiekty. Miałoby być zielono, ciekawie, nowoczesnie.

## ŁUDZIOM SIĘ W GŁOWACH POPRZEWRAÇAŁO

Wiesław Kądzioła, główny inżynier ds. spraw inwestycji towarzyszących w Kopalni Węgla Brunatnego „Belchatów” w budowie jest wyraźnie oburzony reakcją mieszkańców bloków 55, 57 i 58. Dziwi się, że protestują przedwko „dogęszczaniu” osiedla, bo przecież te nowe bloki, to nowe mieszkania dla pracowników kopalni i elektrowni, dla ich kolegów i koleżanek. Mówi, że to typowy przejaw społecznej postawy tych, którzy już coś mają, naszego polskiego warcholstwa. Naprawdę, nie spodziewał się czegoś takiego i nie rozumie, jak jeden drugiemu utrudniać może drogę do własnego kąta. Przecież ci, którzy już mieszkają, powinni być wdzięczni kopalni, że szybciej niż gdzie indziej dostali klucze. A tu, proszę, zamiast uznania — niewdzięczność. Ciekawe, czy też by tak protestowali, gdyby to właśnie oni zamieszkać mieli w tych nowych budynkach? Oczywiście, że nie! I jak tu ludziom dzisiaj dogodzić?

To prawda — przynajmniej — że tych dodatkowych bloków nie było w pierwotnym projekcie osiedla. Zamysł ich wybudowania zrodził się dopiero rok temu. Nie jest to jednak żaden gwałt na koncepcji urbanistycznej osiedla — zwłaszcza że i tak koncepcja ta od samego początku nie była ściśle realizowana, gdyż nie zaspokajała w pełni rzeczywistych potrzeb i trzeba było na bieżąco korygować to, co okazało się niemożliwe. Ludzie nawet nie zdają sobie sprawy, ile wprowadzono tu poprawek! Poza tym, na każdym osiedlu projektant zostawia zawsze pewną rezerwę miejsca na ewentualne „dogęszczanie”. A że w Belchatowie aktualnie nowych terenów uzbrojonych pod budownictwo mieszkaniowe brak, główni inwesto-

rzy osiedla Dolnośląska: kopalnia i elektrownia w porozumieniu z władzami wojewódzkimi podjęli decyzję, aby ową rezerwę wykorzystać. Słowem, wszystko jest w porządku, zgodnie z prawem i normami. Nawet odległość między blokiem 55 a mającym powstać obok punktowcem numer 204, o co powstał właściwie cały szum, 23,5 metra (a nie 22,5, jak błędnie utrzymują mieszkańcy!) najzupełniej przecie wystarczy, aby do okien każdego z mieszkań dochodziło słońce. Nie ma też potrzeby przemieszczania żadnych instalacji, gdyż i one zaprojektowane zostały na wyrost. A że paru osobom nie będzie odpowiadał widok z okna, to już, do prawdy, przejmować się nie warto. Inni, w środku osiedla mają jeszcze gorszy i nie protestują. Przewraca się ludziom w głowie i tyle!

## PROJEKTOWANIE I ŻYCIE

Nagrodzony i zatwierdzony projekt urbanistyczny osiedla Dolnośląska w Belchatowie przekazany został do kierowanej przez Włodzimierza Alwasiaka pracowni P-3 łódzkiego „Miastoprojektu 2”, gdzie powstawać zaczęły plany realizacyjne. Znaczący to, że dopiero tutaj roz-

## PAWEŁ TOMASZEWSKI

# Belchatów pęcnieje

strzygało się, w którym dokładnie miejscu stanąć ma każdy budynek, jak wyglądać, jaki mieć rozkład mieszkań, gdzie konkretnie będzie trawnik, gdzie przedszkole, a gdzie plac zabaw czy boisko. Mylił się jednak ten, kto przypuszcza, że o wszystkim tym decydowali architekci z „Miastoprojektu 2”. Skazani na określone z góry technologie, ograniczeni zastrzeżeniami wykonawców, co łaskawie mogą zrobić, a co im się nie opłaca, różnymi wytycznymi, normatywami i wskaźnikami, nie mieli, prawdę mówiąc, zbyt dużo do gadania. Starali się projektować tak, aby wszystkich zadowolić. Ze jednak jest to prawie niemożliwe, w pełni nie zadowolił nikogo, nie wyłączając samych siebie. I tak rodziło się kolejne typowe polskie osiedle mieszkaniowe przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych — w sumie ani lepsze, ani gorsze od innych. Nowe, ale nie nowoczesne. Osiedle, które bez wątpienia nie mogło być powodem do zawodowej dumy, ale — które może wyglądać jeszcze znacznie gorzej.

W 1983 roku z desek projektantów reszły plany ostatnich budynków osiedla Dolnośląska i wydawało się, że pozostaje już tylko do końca zrealizować to, co zaprojektowane. Tymczasem po wakacjach ubiegłego roku kopalnia i elektrownia zwróciły się z pytaniem, czy nie dałoby się jeszcze zmieścić gdzieś paru bloków, bo ludzie wciąż czekają na mieszkania, a tu można by postawić je szybciej niż gdzie indziej. Po głębszym zastanowieniu architekt z pracowni P-3 orzekł, że jest to możliwe i przedstawił konkretną propozycję: 14 bloków (głównie jednoklatkowych punktowców) dających ogółem 410 dodatkowych mieszkań o powierzchni użytkowej około 25 tys. metrów kwadratowych. I chociaż inwestorzy sugerowali niedwuznacznie, że można by przecieć jeszcze więcej, projektanci odpowiedzieli, że ich zdaniem, więcej się już jednak nie da. Osiedle nie jest z gumy. Wszystko ma jakieś granice.

## OSIEDLE — TO NIE TYLKO DOMY

Włodzimierz Alwasiak, kierownik pracowni P-3 w łódzkim „Miastoprojekcie 2” uważa, że mieszkańcy bloku 55 nie mają absolutnie żadnych podstaw, aby domagać się zaniechania budowy punktowca numer 204. Wbrew temu, co piszą, jego cień nie dosięgnie bowiem nawet parteru, a rzeczywista odległość między obydwojoma budynkami nie wynosi ani 22,5, ani 23,5, jak twierdzi inżynier Kądzioła, lecz — 25 metrów. Tak jest przynajmniej u niego na planie, a że inwestor lub budowlani, być może, nie trzymają się tego, to już zupełnie inna sprawa.

Nieprawdą jest też, że dzieci z pięćdziesiątego pięta bawią się pod balkonami od południowej strony, gdyż wyjście z klatek schodowych jest akurat na północ. Co zaś się tyczy normatywnych odległości między takimi budynkami, to normatywy te... już nie obowiązują. Nawiasem mówiąc, w czasie projektowania kolejnych etapów osiedla zmieniały się one aż dwa razy — tak samo zresztą jak inne, jak wiele różnych przepisów, wytycznych, do których trzeba się było stosować.

I tak miały być na przykład tak zwane ciągi pieszo-jezdne, a zezwolenie z nich już przy projektowaniu drugiego etapu osiedla Dolnośląska. Miały być loggie, ale są nie we wszystkich blokach, gdyż przez pewien czas obowiązywał zakaz ich stosowania. Kiedy odstąpiono od dziesięciolatk, przeprowadzić

trzeba było szkoły, wprowadzić małe parkingi wewnętrzne, gdy okazało się, że te wielkie na krańcach osiedla świetlik będą pustkami. W pewnym momencie władze wojewódzkie w Piotrkowie poleciły, aby „obciąć” nie zaczęte jeszcze wieloklatkowe wysokościowce w centrum do pięciu kondygnacji, ale to wcale nie dlatego, że psuły one jakąś tam średnią wojewódzką, czy też że względu na drgania ziemi w rejonie odkrywk, jak twierdzą w Urzędzie Miasta w Belchatowie. Rzeczywisty powód był, niestety bardzo prozaiczny — po prostu były wówczas okresowe trudności z windami. Faktem jest jednak, że pociągnięto to za sobą utratę ponad 400 mieszkań, czyli mniej więcej tyle, ile teraz chce się dobudować. A jeśli jeszcze brać pod uwagę inne zmiany wprowadzane na życzenie inwestorów...

Ale mimo tych wszystkich perturbacji — twierdzi z przekonaniem Włodzimierz Alwasiak — osiedle Dolnośląskie wyszło chyba w sumie nie najgorzej. Propozycja „dogęszczania” jest zaś optymalna, z zaznaczeniem, jakie przy tym muszą być spełnione warunki. Do zakusów kopalni i elektrowni na tak zwane strefy chronione osiedla stosunek w pracowni P-3 jest jednoznaczny — nie wpló tych stref pod żadnym pozorem zabudować. Powinny być przecież enklawy zieleni, place zabaw, boiska, Powinny też być niezbyt chłone przez inwestorów baseny.

By jednak była pełna jasność — jest to (tak, jak projekt „dogęszczania”) tylko propozycja łódzkich architektów, która może zostać przyjęta, albo nie. To nie oni przecieć podejmują decyzje. Bo gdyby wszystko zależało u nas od projektanta... Ale nie zależy. A iść w ślady inżyniera Bienia z Krakowa raczej nie warto. Szkoda czasu i zdrowia.

Belchatowskie osiedle Dolnośląskie liczy około 20 tys. mieszkańców, czyli równo dwa razy więcej niż 10 lat temu całe miasto. Gdyby jednak brakło nagle obok starego Belchatowa, życie w nim musiałoby się stać koszmarem, choć wcale tego nie trzeba, by i tak nie było łatwe. Dwa nawet duże pawilony spożywczo-przemysłowe, to przecieć, jak na tyle ludzi, stanowczo za mało. Ile czasu traci się w nich, stojąc w kolejkach! Osiem kiosków Ruchu — też żaden zbytek. Brak ciagle apteki, poczty, punktów usługowych. Brak miejsc w szkołach, przedszkolach i żłobkach. Brak garaży, ba, często i miejsc na parkingi przed domem, gdzie można postawić samochód. Brak dobrej komunikacji miejskiej. A placówki kulturalne? Może kino? Jakies obiekty sportowe?... Można by tak wyliczać jeszcze długo. Oczywiście kiedyś wszystko to, no, prawie wszystko przecieć będzie. Już za kilka miesięcy otworzy swe podwoje kolejny duży pawilon handlowy. Ogólnie rzecz biorąc, trzeba jednak jeszcze poczekać. Osiedle nie zostało wszak zakończone. Potrzebne są przede wszystkim mieszkania, mieszkania i jeszcze raz mieszkania. Więc trochę cierpliwości.

I ta cierpliwość jest w ludziach. Ale jest też poczucie bezsilności płynące z czasu, mijającej młodości i jakże szarej barwy codziennego życia.

## COŚ ZA COŚ

Łukasz Kaiwak jest w Belchatowie architektem miejskim zaledwie od 1. marca 1986 r. Młody, ambitny, choć mało doświadczony. Mimo to, a może właśnie dzięki temu stać go jeszcze na własne zdanie. A jego zdaniem, „dogęszczanie” osiedla Dolnośląska nie jest najszybszym pomysłem. Nie dziwi go również, że niektórzy ludzie protestują. Sam mieszka w jednym z osiedlowych domów i też by nie chciał, by mu wybudowano punktowiec przed samym balkonem. Ale nie tylko o to chodzi. Przybędzie nowych budynków, ubędzie tam potrzebnej na tym osiedlu zieleni, miejsca zabaw dla dzieci, parkingów, zmniejszy się teren mającego powstać domu spokojnej starości. Bo zawsze jest coś za coś. I trzeba się dobrze zastanowić, czy warta skórka za wyprawkę.

Bulwersuje też Łukasza Kaiwaka, że decyzja o „dogęszczaniu” zapadła nie tu, na miejscu, w Belchatowie lecz w piotrkowskim Urzędzie Wojewódzkim. A jeszcze bardziej — że inwestorzy polecieli ekipom Wieluńskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego rozpocząć wznoszenie nowych bloków... bez pozwolenia architekta miejskiego, czyli jego. Dlatego też korzystając z uprawnień zajmowanego stanowiska, 7 maja 1986 r. zajął wstrzymania prac budowlanych do czasu złożenia przez inwestorów kompletnego planu realizacyjnego, gdyż złożony u niego wcześniej plan nie zawierał wszystkich niezbędnych uzgodnień i został oddalony. Wyjaśnił także na piśmie, że „warunkiem uzyskania pozwolenia na budowę jest przedłożenie ponadto uaktualnionego planu realizacyjnego zagospodarowania całego osiedla „Dolnośląska” uwzględniającego wszystkie zamierzenia tzw. dogęszczania...”

Krótko mówiąc, Łukasz Kaiwak wystąpił o twarcie przeciw nieprzemyśleniu do końca planów inwestycyjnych oraz — ewidentnemu łamaniu prawa. Co więcej, zrobił to, widząc przecieć dobrze, że jego poprzednik na stanowisku architekta miejskiego myślał podobnie jak on, program „dogęszczania” zapoczątkował negatywnie, a niedługo później odszedł z Urzędu. Miasta między innymi z tego właśnie powodu. Pracuje teraz w Urzędzie Gminy, jeszcze bardziej utwierdził się w przekonaniu, że nie tyle są nam potrzebni architekci, co przytakiwacze, i coraz częściej nie bez pewnego żalu wraca myślami do tego dnia w 1982 roku, w którym zdecydował się z Belchatowem związać swój los.

## BELCHATÓW PĘCZNIEJE

W wyniku odkrycia złóż węgla brunatnego i rozpoczęcia ich eksploatacji w latach siedemdziesiątych stał się Belchatów najdynamiczniej rozwijającym się miastem w Polsce. W ciągu zaledwie 10 lat aż pięciokrotnie zwiększyła się liczba jego stałych mieszkańców. Jak grzyby po deszczu wyrosły nowe osiedla mieszkaniowe: im. Karola Świerczewskiego, im. Marli Kopnickiej, Stefana Okrzei, osiedle 1 Maja i — największe — Dolnośląskie, w których ogółem znalazło swój dom trzy czwarte ludności. 3900 mieszkań dla swych pracowników wybudowała kopalnia, 2000 — elektrownia. Przedsiębiorstwa te są w Belchatowie największymi, najbogatszymi inwestorami. Miejskowa spółdzielnia jest przy nich kopcuszkim. Rocznie przekazuje swoim członkom około 300 mieszkań, a czas oczekiwania w niej wynosi średnio 7 — 8 lat, podczas gdy w kopalni — 5, a w elektrowni tylko 3 lata.

Ale Belchatów nadal pęcnieje. Kiedyś mówiło się o 40 tys. mieszkańców, potem — 60, a dziś 80 i więcej. Muszą więc szybko rosnąć następne osiedla: Biłków (dla 17 tys. osób), którego inwestorem jest kopalnia, i osiedle 40-lecia (8 tys.), będące w gestii elektrowni. Myśli się już o przygotowywaniu terenów pod jeszcze dalsze.

Oczywiście mają to być osiedla piękne, nowoczesne...

Mieczysław Skrobek, wiceprezydent Belchatowa jest przekonany, że w przyszłości wyeliminuje się wszystkie te błędy, jakie popełniono na osiedlu Dolnośląska. Już teraz wznosi się budynki znacznie ciekawsze architektonicznie, ze spadzistymi dachami, dwupoziłymi mieszkaniami, z parterami przeznaczonymi na handel i usługi.

Mieczysław Skrobek zdaje też sobie dobrze sprawę, że każda decyzja o „dogęszczaniu” jest społecznie niepopularna, choć czasem nie ma innego wyjścia. Władze miasta od początku uważały, że jeśli na osiedlu Dolnośląska miałyby powstać dodatkowe bloki, to budować je powinna spółdzielnia, w której obecnie czeka na mieszkanie 1200 rodzin. Kopalnię i elektrownię stać było na inne rozwiązania. Niestety, to nie władze miasta miały w tej sprawie decydujący głos, a Urząd Wojewódzki w Piotrkowie.

A przewodniczący miejskiej komisji planowania w Belchatowie, Tadeusz Nowak dodaje, iż protest mieszkańców bloku 55 należałoby chyba mimo wszystko uwzględnić i odstąpić od budowy punktowca numer 204. Nie jest jeszcze za późno, zaczęto dopiero kopać pod fundamenty. Natomiast w związku z rozpoczęciem prac budowlanych bez pozwolenia architekta miejskiego, należy w stosunku do wszystkich winnych tego złamania prawa wyciągnąć konsekwencje. Prawo jest prawem i każdy musi go przestrzegać — bez żadnego wyjątku. Inaczej będziemy mieli anarchię.

Każdego dnia przybywa do Belchatowa 4—5 tysięcy ludzi — w większości młodych, ze wsi, z miast i miasteczek, z całego kraju. Ściąga ich tu przede wszystkim możliwość otrzymania wysokopłatnej pracy i — szybciej niż gdzie indziej — samodzielnego mieszkania. Inne motywy, to margines. Dopóki nie dostaną upragnionych kluczy, gotowi są zgodzić się na wiele. Ale później przypominają sobie szybko, że własny kąt, to jeszcze nie wszystko, że człowiek ma też inne potrzeby. I domagają się ich zaspokojenia. Rozumieją oczywiście, że możliwości nie są nieograniczone, że w danym okresie jedne sprawy są ważniejsze, a inne muszą poczekać. Podkreślają jednak, że konieczność rozwiązania doraźnych problemów mieszkaniowych nie powinna całkiem przesłaniać perspektywy warunków ich życia w przyszłości. Z pewnością nowe mieszkania potrzebne są kopalni czy elektrowni już, bo tam również kolejka długa, bo można dzięki temu zatrudnić więcej specjalistów, ale na „dogęszczaniu” teraz osiedlu oni będą przecieć mieszkając jeszcze dziesiątki lat. I ktoś powinien o tym pamiętać. Nowy blok, to nie barak, który rozbiera się lub przenosi w inne miejsce wraz z zakończeniem budowy. A budowa i kopalni, i elektrowni zostanie kiedyś zakończona. I co wówczas? Ano, blok pozostanie tam, gdzie stał — tuż przed ich balkonem, tam, gdzie przez pewien czas był śmietnik i parking, a obok miały się bawić dzieci.



Mirosława Marinow

## Falsz

Najpierw grała z mężczyzną w plikę  
śmiesz wydybywał się spomiedzy ud  
Potem leżała w małżeńskim łóżku w habicie  
mnicha  
stary sznur przepasany dookoła pasa  
w ręku trzymała książeczkę do nabożeństwa  
Układ jej ciała w łóżku był pobożny i skromny  
ale od czasu do czasu zerknęła na mnie spod  
książeczki  
porozumiewawczo

☆☆☆

kiedyś pęsał mi się kran  
i poprosiłam sąsiada o pomoc  
kiedy poszedł weszłam do łóżka  
aby móc potem pracować  
wtedy zapukał sąsiad  
okazało się że zapomniał zabrać śrubokręt  
zobaczył na moim łóżku drewnianą fujażkę  
odtąd sąsiedzi (dwa młode małżeństwa)  
pozdrowiają mnie pierwszy i zapraszają  
abym posiedziała z nimi na ławce  
i pogadala

☆☆☆

Od czego mam zacząć  
czy od białego wyrzynanych w pień drzew?

W niebieskiej biele śniegu  
z opłatkami serca wyśię i śię?

W nieruchome ciele prostokątów  
przywleczonej przestrzeni?

I tak delikatnie jak mgła  
lub surowy śnieg — być?

I seron śniegu przepuszczać  
przez zwicnięte gardło?

☆☆☆

szkadam  
tylko  
rozwiązuje się brzuch  
miękną uda  
świeci słońce  
chłopcy kopią plikę  
kraża sok w krwi  
schodzą się u źródła  
tycie tyte  
beze mnie

Andrzej Dawlund

## Erotyk

Wilecyto ohełwe oko ciemności  
Przywołujesz mnie wibracją słonecznej piersi  
Ale płomień nie trzaska  
Obracam się w suchych palcach gałęzi  
Może to czas pomylili  
Bo cóż ja książkę tej nocy  
Książkę w pełni rysule  
Twój uśmiech szczeniocy

Ale już Niech tam  
Jako zwierzę wytrawne  
Zapach rosy wieczornej błogę w nozdrza  
I po koralu twych westchnień  
Podażam śladem ryb przebiegłych  
Błyskiem oczu rozcinam aksamitną skórę  
A morze wchodzi we mnie  
I jęczy i skomle i szczy  
Ale tuli się do skał rozpalonych

Lubię kiedy warkocz rozplatasz  
Jak w sildia wpadają  
Czy i koniki polne

Ty zawsze masz zimne palce  
Kiedy z tobą śpiewam

Bożena Pawełczyk

## Zawierzyłam piekielnemu blaskowi

Motto: „Jeżeli opuszcza mnie moje diabły,  
obawiam się, że uleca z nimi moje anioły”  
(Rilke)

doпадiłeś mnie  
włochatym cieniem twojego ciała  
włiam się — jak białaczka po prześcieraśle  
a mój Anioł Stróż  
utracał zbawienne modlitwy  
teraz  
szoruje mnie do krwi  
z miłosnego trudu

zostawiłeś swoją diabelską pieczęć  
we mnie  
maleńki krzyżyk obłędu nie zabliźni się  
bez śladu

pełnia — wznaga mój skowyt

8 ODGŁOSY

Spółród wszystkich ugrupowa-  
nia i literackich propozycji  
programowych dwudziestolecia  
miedzywojennego futuryści polscy  
najdłuższe pozostawali w  
cieniu i najdłuższe oczekiwali na  
zainteresowanie historyków  
krytyków i wydawców. Choć  
tuż po 1956 roku pokazało się  
kilka wydań Brunona Jasień-  
skiego, a potem pojedyncze  
tomy Tytusa Czyżewskiego i  
Stanisława Młodzieńca, choć  
pojawiało się kilka książek kry-  
tycznoliterackich, futuryści  
istnieli w powszechniejszej  
świadomości nie tyle dzięki

rozmaitych autoweryfikacji dys-  
kutować (zresztą w swoim cza-  
sie takich dyskusji nie brako-  
wało), ponieważ Stern próbował  
ładzić to, co ze sprzeciwu na  
ład się rodziło, nadawał paty-  
nę tradycji wartościom, które z  
założenia były antytradycyjno-  
listyczne, sakralizował futury-  
styczne profanum. Świadczy o  
tym choćby nowe redakcje  
wierszy sprzed lat publikowa-  
ne w zbiorach powojennych.  
Najnowszym przykładem  
wspomnianej konsekracji pol-  
skich futuryistów jest dwuto-  
mowa, wspaniale się prezentu-

Otwiera je esej wstępny, w  
którym A. K. Waśkiewicz w  
syntetycznym skrócie przedsta-  
wia twórczość Sterna w kon-  
tekście futurystycznych do-  
świadczeń polskiego miedzy-  
wojnia. Może jednak w takim  
wydaniu przydałby się także  
szkieł biograficzny, niechby  
czytelnik nie musiał już odwa-  
tywać się do różnych, czasem  
bałamutnych not biograficz-  
nych.

Korpus wierszy zamyka ob-  
szerny „Dodatek krytyczny”, w  
którym edytor objaśnia zasa-  
dy wydania i komentuje całą  
poetycką zawartość obu tomów.  
Komentarze te nie tylko przy-  
noszą fakty na temat edytor-  
skich okoliczności przedruko-  
wywanych w zbiorze tomów i  
poszczególne wiersze, ale —  
co istotne z historycznoliterac-  
kiego punktu widzenia — wsze-  
kie odmiany tekstu w kolej-  
nych przedrukach i maszyno-  
pisach zachowanych w archi-  
wum domowym poety. W anek-  
sach omawia Waśkiewicz wy-  
dania zbiorowe wierszy Sterna,  
przedstawia archiwum domowe  
poety oraz zamieszcza zbiorek  
„Zydek-literat”, należący do  
najmniejszych znanych druków  
futurystycznych. Edycje kończy  
część ilustracyjna, na którą  
składają się reprodukcje okła-  
dek tomików Sterna, jedno-  
dniówek i manifestów, robo-  
czych maszynopisów i zdjęć.  
Nie chciałbym dokonywać o-  
ceny dorobku poetyckiego Ster-  
na. Zresztą takie oceny już ist-  
nieją, żeby wspomnieć znako-  
mity esej Kazimierza Wyki  
„Dwa skrzydła poezji” Anatola  
Sterna” (wstęp do PIWowskie-  
go wydania „Poezji” z roku  
1969). Recepcja „Wierszy zebra-  
nych” z całą pewnością je uko-  
naruje i ustabilizuje. Także na  
tle innych futuryistów. A na  
swoje „utwory zebrane” wciąż  
czekają Jasieński, Wat i Czy-  
żewski.

GRZEGORZ GAZDA

A. Stern, Wiersze zebrane. O-  
pracował Andrzej K. Waśkie-  
wicz. Wydawnictwo Literackie,  
Kraków 1986, t. I-II, s. 572 +  
551 + II, cena 800 zł.

## Futurysta jako klasyk

swojej twórczości, ile dzięki  
barwnej i obrazoburczej legen-  
dzie, powielanej i podtrzymy-  
wanej w rozmaitych wspomnie-  
niach i anegdotach.

Ich widoczna konsekracja  
rozpoczęła się w ostatnim pię-  
nastolecu, kiedy to dostąpił  
zaszczytu publikacji w wielce  
noblej serii „Ossolineum”  
Biblioteka Narodowa „Utwory  
poetyckie — manifesty — szkic-  
ce” Jasieńskiego w opracowaniu  
E. Balcerzana oraz „Antologia  
polskiego futuryzmu i Nowej  
Sztuki” w opracowaniu Z. Ja-  
rosińskiego i H. Zaworskiej).  
Wtedy też T. Burek zaprezen-  
tował w obszernym tomie „U-  
twory poetyckie” Młodzieńca.

Nie wymieniałem dotąd naz-  
wiska Anatola Sterna, bo też  
też sytuacja w porównaniu z  
innymi futuryistami była dosyć  
wyjątkowa. Zmarły w 1968 ro-  
ku autor był do końca obecny  
w naszym życiu literackim dzie-  
ki licznym książkom, tomom  
poezji i krytycznoliterackiej  
aktywności. On też wziął na  
siebie obowiązki obrony i u-  
powszechniania historii pol-  
skiego futuryzmu. Można było-  
by z jego ocenami i próbami

jąca, krytyczna edycja „Wier-  
szy zebranych” Anatola Ster-  
na w opracowaniu Andrzeja K.  
Waśkiewicza. Autora opaco-  
wania nie trzeba przedstawiać,  
można natomiast z pełnym  
przekonaniem pogratulować mu  
kolejnego osiągnięcia edytor-  
skiego i krytycznoliterackiego.  
Te dwa ponad tysiącstronicowe  
tomy muszą rzeczywiście im-  
ponować rzetelnością, pieczołow-  
nością i starannością wydania.  
Zawierają wszystkie znane do-  
tąd wiersze Sterna zarówno te  
publikowane w oddzielnych  
tomach, jak i utwory rozprosze-  
ne i inedita. I choć edytor się  
zastępuje, iż wydanie obecne  
„nosi charakter edycji próbnej,  
rekonesansowej”, że „nie jest  
też wykluczone, iż nieznane  
wiersze zachowały się w pry-  
watnych archiwach” sądzi, że  
„Wiersze zebrane” na długie  
lata, a może już na zawsze,  
pozostaną najpełniejszym i na-  
jbardziej kompletnym podsumo-  
waniem poetyckiego dorobku A.  
Sterna.

Jak powiedziałem jest to  
wydanie krytyczne, a więc z  
wszelkimi konsekwencjami ta-  
kiego edytorstwa założenia.

Sięgając po nową propozycję  
Wydawnictwa Łódzkiego — to-  
miki wierszy Mirosława Kuź-  
niaka „Świat bez przerwy” —  
zerknąłem na króciutką notę  
redakcyjną o autorze, zamiesz-  
czoną na obwolucie książki i  
wyświetliłem z niej kilka dat.  
Wprawdzie orientacja poeto-  
centryczna, wyjąwszy liczne  
wolne od kompleksu biografiz-  
mu szkółki, nie świeci we  
współczesnym literaturoznaw-  
stwie oszłamniających triumfów,  
niemniej pewne jej praktyki,  
jak na przykład ustalanie toż-  
samości pokoleniowej twórców,

bez przerwy”, prezentuje sto-  
sunkowo wierną swym założe-  
niom wyjściowym postawę. Ta-  
ka konsekwencja wobec formu-  
ły programowej należy właśnie  
do podstawowych rysów zna-  
miennych rówieśników Kuź-  
niakowi poetów. Rzadko prze-  
kraczają oni ramy zadeklaro-  
wanych wcześniej manifestów  
literackich, raczej miłkują lub  
odchodzą od nich w sposób  
skrajny, czego dowodem woła  
Kornhausera w stronę klasycz-  
ności.

Wiersze ze wspomnianego  
przeze mnie wyżej cyklu są

statecznego zdemaskowania. Po  
prostu tak, jak robi to w  
„Pejzażu z sosną” — drugim  
cyklu omawianych książek, w  
stonowanej, nawiązującej tro-  
chę do klasycyzmu konwencji.  
Klasycyzmu dogmatycznego, u-  
ściłiłby zapewne zaraz czytel-  
nik „Nieufnych i zadufanych”.  
Być może pobrzmiewają tu je-  
dynie echa odległych poetyk,  
więcej jest artystostwa i lite-  
racksości niż prawdziwych pro-  
blemów egzystencjonalnych, być  
może nawet autor pozostaje do  
końca tylko zrecznym czytelato-  
rem, ale nie sposób odmówić  
tym wierszom swolowego pięk-  
na. Nie bezpodstawnie Ziemo-  
wit Skibiński pisał kilkanaście  
lat temu w recenzji o „Senty-  
mentach”, że Kuźniak posiada  
znakomite wycucie metrum.  
Początkowe utwory „Pejzażu z  
sosną” potwierdzają to całko-  
wicie. Oprócz rytmiki przyku-  
wa także uwagę chromatyka  
rymów — od subtelnych, lek-  
kich asonansów po gęzylłwe  
zestawienia konsonantyczne.

Rozpocząłem analizę najnow-  
szego tomiku Mirosława Kuź-  
niaka „a tergo”. Pora więc na  
jego pierwszą część, zatytuło-  
waną „Przerwana oddech”. Mo-  
im zdaniem cykl ten  
objął utwory zdecydowa-  
nie najlepsze i nado-  
rzalsze. Bije z nich głęboka re-  
fleksja filozoficzna i historio-  
zoficzna. W przeważającej  
większości sytuacji się one w  
kręgu poezji kultury. Autor  
przywołuje postaci literackie  
(Raskolnikowa), historyczne  
(Neron, Tarkwiniusz, Alkajos)  
lub zamieszkujące mity śród-  
ziemnomorsko-chrześcijańskiej  
tradycji (Odys, Eurydyka, Ja-  
kub) i dokonaj ironicznej ich  
reinterpretacji, uwspółcześnił,  
albo tylko zderzył ze współ-  
czesnością, osiągając za każ-  
dym razem interesujący efekt.  
I właśnie ten sceptyczny kla-  
sycyzm wydaje się największą  
zaletą tej poezji, bo — mówiąc  
słowami Herberta:

jeśli tematem sztuki  
będzie dżbanek rozbity  
mała rozbita dusza  
z wielkim żalem nad sobą

to co po nas zostanie  
będzie jak plac kochanków  
w małym brudnym hotelu  
kiedy światają tapety

PIOTR  
ŁUSZCZYKIEWICZ

Mirosław Kuźniak, Świat bez  
przerwy, Wyd. Łódzkie 1986.

## Bigos hultajski

Mieszanka firmowa  
literacko — obyczajowa

CO BYŁO POD FIGURĄ?

Ojcowie jezuici odprawiali Majales (żartobli-  
wie: ucztę, biesiadę na trawie) w polu pod fi-  
gurą. Mieli tam z sobą puzderko niegorsze,  
napelnione przepysznyimi trunkami. Ale zale-  
dwie rozłożyli się do wesołej biesiady, postrze-  
gli z daleka nadchodzących bernardynów. Co tu  
robić, rada w rade, postanowili puzderko za-  
kopać pod figurą. Jakoż wykonawszy to przed-  
sięwzięcie, puścili się w przeciwną stronę ku  
lasowi. Nadeszli bernardyni pod figurą i po-  
wiadają: „tu byli jezuici, spocznijmy tu także”.  
I posiadali sobie. Jeden z nich spostrzegł, świe-  
żą ziemię, zaraz mu przyszło do głowy, czy też  
jezuici nie zakopali tu jakiego skarbu, dalejże  
kopać i dobyli puzderko niepróżne, wycedzili  
do ostatniej kropelki, a domyślając się, że je-  
zuici wrócą na to miejsce, przyklepili kartecz-  
kę na puzderko z napisem: „Już się owo speli-  
niło, co pod figurą było”.

Sadok Barącz: Bajki, fraszki, podania, przy-  
słówia i pieśni na Rusi. Lwów 1886.

O BABACH

Wprawdzie święta wielkanocne mamy już za  
sobą, ale o babach można nieskończenie. Odda-  
ję głos Kazimierzowi Bartoszewiczowi, który  
tak oto opisał babę i te dwunożne i te wiel-  
kanocne w „Słowniku prawdy i zdrowego roz-  
sądku” („Dziennik” 1919 nr 41):

Baba — z licznych gatunków najlepsza wiel-  
kanocna. Ma to wspólne z dwunożną, że o-  
bie „rosną”, obie się „ubierają” i obie o tyle są  
smaczne, o ile „świeże”.

O babach dwunożnych tyle napisano, że 100  
tomów nie wystarczyłyby na podanie ważniej-  
szych wyjątków. Zaczawszy bowiem od proci-  
ca Adama, który zapisał w swoim pamiętniku:  
„Nie wierz babie, bo dostaniesz po schable”, aż  
do świeżo narodzonych prozaików i poetów,  
każdy prawie pisarz i myśliciel czuł się w o-  
bowiązku poświęcić temu „przedmiotowi” swo-  
je uwagi. Przytoczymy zatem tylko kilka opi-  
ni. Szymon Budny twierdził, że „mężniejsza  
baba na górze, niż najlepszy rycerz na dole”.  
Według Wacława Potockiego „śladniej sto me-  
żów niż dwie zgodzić baby”.

Po tym krótkim wprowadzeniu do tematu  
warto uzupełnić wywody Bartoszewicza wiers-  
zem „Baba”, zamieszczonym również w kra-  
kowskim „Dzienniku”, tylko o kilkanaście lat  
wcześnie (1903 nr 7):

Od prababki naszej Ewy  
Coty świat urodził się,  
Ze po Ewie (choć najśladziej)  
Gorycz pozostaje!

Baba kusi, baba zdradza,  
Baba świat zwaśniła,  
Gdzie tam diabeł już nie może,  
Baby tam uoyśla!

Jedne tylko popyt mają  
I użnanie mocne:  
Pulchne, dobre wyrośnięte,  
Baby wielkanocne!

ZERO

Niegdyś pewnemu ubogiemu Polakowi będą-  
cemu w Rzymie zabrakło pieniędzy, udał się z  
prośbą do kardynała Montaldiego, protektora  
Polski. Ten chętnie ją odebrał, a że był pan  
hojny, więc do napisanych liczb złotych 30  
przypisał zero i zrobił 300. Podróżny ubogi u-  
padł do nóg dziękując, a protektor uśmiechając  
się: „Com zrobił — rzekł — zero jest”.  
— „Więc dopisz jeszcze Wasza Wielębnosc więcej  
takowych, jeżeli w tak malej są u was cenie”.  
— „Dobrze się znalazł!” — powiedział protek-  
tor — i 3000 zł ze swojego skarbcza wyliczyć  
mu kazał.

„Kurier Warszawski” 1827 nr 238

KWESTIA LITERACKA

Pytał ktoś literata: „Czemu pan Agapit  
Wstawia do swych powieści tak wiele  
acapit?”

On odpowie: „Czy nie wiesz, istoto  
najszczerza;  
Ze mi placą wydawcy za powieść od  
wiersza?”

Im się więcej namnoży przorożnych a  
capit,  
Tym ci bardziej czelek będzie najedzon i  
napit”.

„Mucha” 1900

KONKLUZJA

Podczas herbaty porównywała pewna dama  
z arystokracji stan mieszczański do naczyń  
z gliny a arystokrację do porcelany. Służący  
przysłuchiwał się tym wywodom i gdy po kola-  
cji otrzymał rozkaz, żeby przeprowadził do sa-  
lonu dzieł swego państwa, zawołał na bone:  
— Hej, tam! naczynie gliniane! przyprowadź  
do salonu małą porcelanę!

Do rozpuku. Dwa tysiące anegdot i dowcipów.  
Lwów (kon. XIX w.)

Opracował:  
ANDRZEJ KEMPA

NR 23 (1471), XXIX, 7 CZERWCA 1986 R.



# Ekonomia i moralność

"Aferę żyrdowską" Jarosława Warzecha zaliczyć należy do literatury faktu w tym sensie, iż rejestruje ona otoczkę słynnego w dwudziestolecu międzywojennym przypadku kryminalnego. Sprawcą zabójstwa był zredukowany urzędnik fabryczny Julian Błachowski, ofiarą — dyrektor fabryki Inlarskiej w Żyrardowie Gaston Koehler-Badine. Rekonstrukcja zmięra w dwóch kierunkach: wiernego w miarę odtworzenia samego wydarzenia oraz przekształcenia go w studium sytuacji społecznych. Aby rzecz cała nabrała literackich rumieńców zdecydował się Warzecha na wprowadzenie wątku erotycznego, który zapowiadając interesujący romans kończy się nieoczekiwanym w sposób ciekawy i sentymentalny — jak w lirycznych piosenkach z "niezapomnianych" lat trzydziestych. Możliwe w zamysłu autorskim stanowić miał antydotum na przytłaczającą, ponurą rzeczywistość?

Warzecha postawił sobie zadanie ambitne. Drobiazgową rekonstrukcją wydarzeń związanych z głośnym procesem "żyrdowskim", przedstawieniem dzieł fabryki, ukazaniem położenia robotników i urzędników fabrycznych wykorzystywanych bezlitośnie przez obcego (francuskiego) głównego akcjonariusza Boussaca — wszystko to stanowi raczej materiał na tradycyjną powieść z tłem, albo, co mogłoby okazać się ciekawsze, na powieść środowiskową. W tym kontekście pomysły napisania powieści-reportażu z lat 1932 — 1935 wydaje się trafny. Są to lata wielkiego rozkwitu sztuki reportażowej u nas i w całej Europie. Kto pamięta słynne reportaże "Władomości Literackich" łatwo domyśli się, iż książka Jarosława Warzecha do nich właśnie nawiązuje. Tak więc nie Błachowski czy Koehler-Badine pretenduje do roli bohatera literackiego. Miejsce owo zajmuje szalejący reporter Wirski, który dla "rewolwerowej" popołudniowej relacji wchodzi w rolę, prowadząc jednocześnie śledztwo na własną rękę.

Rozpoczęte zabójstwem dyrektora generalnego fabryki w Żyrardowie badanie kwestii społecznej i moralnej dalece odchodzi niebawem od rzeczowego, jednostkowego zdarzenia — zarówno w życiu, jak i w powieści. Warzecha trzyma się faktów, wykorzystuje liczne dokumenty, transponuje materiały dziennikarskie, gdy trzeba — nie szczędił cytatów. Stara się być rzeczowy w warstwie faktograficznej, jednocześnie snując się nieco wprowadzając do powieści istnego "króla życia" o wyidealizowanym podniebieniu i guście. Aż dziw, że "swój chłop", za jakiego uchodzi Wirski, zostaje zaszczepiony przyjaźnią i zaufaniem tak dystygnowanego i wytwornego w każdym calu człowieka. Jednakowoż postać Kościelskiego okazuje się przydatną z innego jeszcze — i chyba najważniejszego — powodu. Spełnia on w utworze funkcję rezonera, uogólniając z filozoficzną zadumą odnotowywane przez reportera zdarzenia. Ich sens pieczętuje myśl wyraźnie pesymistyczna: "Bardzo długo, jeśli nie zawsze, będą dobrzy i jeszcze lepsi, będą równi i jeszcze równiejsi, uprzywilejowani i jeszcze bardziej uprzywilejowani (...). Równego podzielić nie ma nigdzie. U jednych jest nierówny podział bogactwa, u innych nierówny podział nędzy. I tu, i tam przepaście są tak samo głębokie (...). Tego się nie da wprowadzić żadnym dekretem, żadną ustawą, żadną zmianą jednej ekipy rządzącej na inną. To po prostu ekonomia". Ekonomia odgrywa w "Aferze żyrdowskiej" rolę tego, czy nie najistotniejszą. Wszystko tu okazuje się uwarunkowane stanem posiadania bądź jego brakiem. Sprawy wielkie i małe, państwo i osobiste. Ekonomia stanowi zresztą najwiedzielszy temat niemal wszystkich powieściowych dyskursów.

Marzenie i rzeczywistość. Tak przebiega linia podziału pomiędzy bohaterami powieści. Dzielą się oni na tych, którzy nie przestają ulepszać świata oraz na tych, którzy podchodzą doń z coraz większą wyrozumiałością. Dewizą tych ostatnich stało się hasło: "Kto w młodości nie był socjalistą, ten na starość będzie świnią". W ten niejako sposób punkt ciężkości z zagadnień ekonomicznych przesunął się w stronę etyki. Narrator zastanawia się, czym jest, a właściwie — czym bywa moralność: wartości stały czy zjawiskiem relatywnym, przedmiotem manipulacji zdegenerowanych jednostek czy bezpośrednim wytworem mechanizmów społecznych? Pytania podobne można mnożyć i każde znalazłoby odniesienie w powieści Warzecha po prostu usiłując pokazać, jak skomplikowanym zjawiskiem jest życie społeczne. Czynniki operujące określonym materiałem historycznym, wnioskom nadaje jednak wymiar uniwersalny. Jego interpretacja świata pokrywa się przede wszystkim z naturalistyczną tezą afirmującą bezwzględna walkę o byt.

Opisane zdarzenie kończy się dla szlachetnego mściciela wprawdzie niemal happy endem, bowiem po trzech latach zostaje on warunkowo zwolniony z więzienia na skutek poręczenia ludności Żyrardowa, zaś fabryka zostaje odkupiona z rak francuskich przez Bank Rolny. "Afera żyrdowska" kończy się więc w sferze faktograficznej z pozoru optymistycznie. Zależności między ekonomią i moralnością pozostają nadal zawile.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

Jarosław Warzecha: "Afera żyrdowska", Krajowa Agencja Wydawnicza Łódź 1986, s. 124, nakład 30 000 egz., cena zł 100.—

Jezeli zestaw tytułów „Konfrontacji 85” był reprezentatywny dla światowego kina w minionym sezonie (a wydają się świadczyć o tym nagrody i fakt, że o większości zgromadzonych filmów wiele pisała krytyka, lansując je jako wydarzenia), to obraz tego kina jest przygnębiający. Większość — bo aż 9 z 12 pozycji — to albo filmy „niefilmowe”, teatralne, literackie, w których słowo, a nie obraz, jest nośnikiem znaczeń i wykładnikiem idei, albo filmy całkiem poronione już w samym ich zamysłu, w których twórca albo nie ma nic do powiedzenia, albo kopiuje sam siebie (casus — Fellini, Ichikawa). Nie było w programie ani jednego arcydzieła — nowej propozycji w zakresie estetyki, środków wyrazu, wytyczającej (jak niegdyś nowe fale) drogi na przyszłość, ani też w ówsięwającej filmowej formie syntezę dotychczasowych zdobyczy kina. Tak więc „Konfrontacje” tegoroczne, zamiast uczyć dla kinomanów okazały się w sumie jedynie wielkim pasmem rozczarowań. I nie poprawiły samopoczucia widza fakt, że znużli go tym razem Forman, Fellini i Lean, a nie np. Barbara Sass.

## Smutny pejzaż czyli „Konfrontacje 85”

Wśród wielu słabych filmów dwa były tak tępujące w zakresie formy i myśli, że aż dziw bierze, iż nie tylko zdobyły nagrodę na „czterogwiazdkowych” festiwalach, ale że w ogóle zostały doń dopuszczone. Pierwszym z tych filmów — curiosów jest chińska „Złota ziemia” w reż. Chena Kaige (nagroda w Locarno). Utwór ten to przedziwna mieszanka filmu „etnograficznego”, opery i socrealizmu. Miała to być — wedle reklamy — „poetycka wizja życia małej wioski”, ale jest to jedynie powtarzanie nudny, zły film, w którym statyczny, nieciekawy obraz jest złem koniecznym jako łącznik dla dialogów (recitatywów) i piosenek (ari) opisujących „nieodolny lud”. Nie do zniesienia w zakresie formy, narracji, raz też „Złota ziemia” natrętną propagandowością, od której odstępno by się nawet u nas w latach 50-tych.

Druga „perelka” był angielski film „Wetherby” w reż. Davida Hare, debiutanta (Grand Prix w Berlinie Zach.) — skomplikowana konstrukcyjnie opowieść o tym, jak pewien młody człowiek strzela sobie w łeb w mieszkaniu podstarzałego nauczyciela i jak to wydarzenie przywołuje w nauczyciela własną historię sprzed lat (mieszalans intelektualistki z prymitywnym wojażem, zarzniętym na wymarzonej przezeń wojnie w jakiejś azjatyckiej spulchnce). Równoległy montaż sugeruje jakieś istotne paralele między „dziś” a „wczoraj”, ale nie wiemy jakie. W historii tej pojawia się jeszcze watek sfrustrowanego policjanta, który najpierw nauczyciela śledzi, a później z nią idzie do łóżka oraz watek eks-dzielnicy samobójcy, która przybywa do domu bohaterki i jak meteor znika, ale nie z tych wątków nie wynika dla widza w sensie pogłębienia wiedzy o postaciach.

Współautorem (z „Wetherby”) Grand Prix berlińskiego festiwalu jest NRD-owski film „Kobieta i obcy” w reż. Rainera Simona. Ani dobry, ani zły — tzw. beczkowy i nijaki: irytujący, gdy reżyser kameralną historię miłosnego trójkąta przekształca w metaforyczny „dramat ofiar wojny” wskazując, że rozpad małżeństwa jest konsekwencją Kaiserowskiego imperializmu.

Pierwsza wojna światowa była jeszcze obecna w dwóch innych, zresztą całkiem odmiennych, filmach Konfrontacji. W filmie Federico Felliniego „A statek pynie” wojna przynosi zagładę ekskluzywnemu towarowi, którym podróżowała artystyczna i towarzyska elita schyłku belle epoque. Zatopienie „Glorii N.” jawi się tu jako metafora upadku bezrozumnego świata, jego wartości estetycznych, kultu sztuki dla niej samej. Jest to więc film o dekadencji i powieści sztuczny, hermetyczny świat ulega zagładzie, gdy wtargnęła weń nieodwracalna Historia i prawdziwa, a nie zmyślony dramat. Ale ten film o dekadencji jest sam dekadentki w formie. Fellini sprowadza tu do banału ozdobił gest ujawnienia samego siebie jako kreatora fikcyjnego świata. Nie ma też w tym filmie typowego dla Felliniego „jaja” (postać — jak zwykle u niego karykaturalna — są tu błędem echem monstrów z „Rzymu” i „Casanovy”), ani też swoistego rytmu w obrazie i następstwie kadrów. Rewelacyjny początek (czarno-białe, nieme, pseudoarchiwalne kadry przechodzące stopniowo w obraz barwny i dźwięczny; pierwsza scena na statku: kuchnia i restauracja z poruszającymi się groteskowo rytmicznie postaciami, przypominająca choćby scenę parku z „Osem i pół”) uwydatnia tym bardziej nieudaną całość. Jest to film stylistycznie wtórny, nudny i zimny, wzbudzający nostalgię za dawnymi arcydziełami mistrza.

W filmie Istvána Szábo „Pułkownik Redl” I wojna światowa jawi się jako kres panującego systemu (politycznego, administracyjnego, wojskowego) monarchii habsburskiej. W ostatnich ujęciach filmu jedna z głównych „dramatis personae” — arcyksiążę Ferdynand — ginie w Sarajewskim zamachu, a śmierć ta, jak wemy była początkiem końca owego systemu. Arcyksiążę (w świetle wcześniejszych wydarzeń filmu) okazuje się sam jeszcze jedną ofiarą własnej politycznej gry, która wcześniej doprowadziła do zauby postać tytułową. Film jest właśnie historia kariery pułkownika Redla i jego upadku z wysoka, kiedy mógł się wydawać, że osiągnął wszystko. Tylko pozornie kariera ta przypomina los bohatera poprzedniego filmu Szábo „Mefisto”. Tamten był dość jednoznacznie moralnym zerem, gładkim karierowiczem, skoro z własnej woli służył złu, a wcześniej obznajane normy etyczne kazaly mu je odrzucać. Redl jest natomiast całkowicie tworem, a przez to także ofiarą, systemu — narzuconych, ale wskutek braku krytycyzmu zaakceptowanych wartości, systemu wojskowego drylu i posłuszeństwa, politycznego nadzoru. „Pułkownik Redl” jest filmem bardzo przekonującym w sferze psychologii i ideologicznej analizy. Z niesłychaną konsekwencją przeprowadzana jest wiwisekcja bohatera, jego postępującej degradacji, która przy okazji odświeża polityczny mechanizm ubezwłasnowolnienia. A mimo to polityka sugerującej historyczną miniość tego mechanizmu, film ten ma wyźwięk uniwersalny. Toteż ta właśnie myślowa nośność, znakomity scenariusz i wreszcie aktor-

wo sprawili iż na tle słabych w tym roku filmów „Konfrontacji” był „Redl” autentycznym wydarzeniem.

Do II wojny powracały natomiast dwa inne filmy. „Harfa birmaska” Kona Ichikawy to remake własnego filmu reżysera sprzed 29 lat. Pierwsza wersja z roku 1956, w 11 lat po wojennej klęsce Japonii, z którą stanowiła rozrachunek, miała żywy oddźwięk i została uznana za wydarzenie. W wersji z 1985 r. anegdota, rozrachunek z klęską i pacyfistyczny apel pozostały takie same, a w zakresie formy filmowej nic nowego reżyser nie wniósł. Wręcz przeciwnie — narracja i organizacja obrazu jest staroświecka, jakby z lat 50-tych, raz dziś nachalna symbolika i ekspresyjne aktorstwo, a jedyną nowością jest kolorowa taśma. Czy może to być wystarczający powód kopiowania samego siebie? Bo szlachetność intencji nie usprawiedliwia mówienia dwa razy tak samo tego samego.

Elen Klimow, reżyser filmu „Idź i patrz” podjął natomiast temat wojenny, do którego kino radzieckie wciąż opornie powraca, w sposób, który sprawia, że nie można uznać tego dzieła za jeszcze jeden obraz martyrologicz-

ny. „Idź i patrz” jest mianowicie dziełem w tonacji historycznego krzyku, który jak rzadko kiedy w utworze artystycznym poraża widza. Z perspektywy 15-letniego chłopca patrzymy nie na wojnę, lecz na Apokalipsę — zachodzi niemal całkowite uutożsamienie punktów widzenia bohatera i widza z racji subiektywności narracji. Napiecie, poczucie kosmosu i atmosfera zagrożenia są tak wielkie, że już w połowie filmu widz znajduje się u granic wytrzymałości, a kulminacyjna, wstrząsająca scena zagłady wioski jako tylko spełnienie oczekiwanego ostatecznego, jest już zagłuszeniem naszych emocji. Ponieważ oglądaliśmy Apokalipsę oczami nieletniego Flori — udziela się nam jego zniechęcenie, rezygnacja, porażenie i niemoc, i wychodzimy z kina „martyr duchem”. Jest to film zrealizowany mistrzowsko — wszystkie środki artystycznego wyrazu; brawurowe zdjęcia, montaż, „upiorny” dźwięk i niesamowite aktorstwo Aleksieja Krawczuki, budują ów kosmos w sposób totalny i doskonały. Od strony formy jest więc „Idź i patrz” filmem na pewno wybitnym.

Drugi radziecki film (zresztą znacznie słabszy artystycznie) — „Straszydło” w reż. Rolana Bykowa — ponoc bulwersujący dla widzów w ZSRR, ponieważ nie zawiera prawdziwych psychologicznych portretów dzieci (jak myśleć tak nie postępują i nie żyją takimi problemami 12-latkowie), a klasa szkolna jest układem wypręparowanym ze społecznego łań, nie może być traktowany realistycznie, lecz jako ... no właśnie, co? Metafora społecznej nietolerancji? Oskarżenie systemu wychowania wypęcającego dziełce postępowanie? — w takim razie kto staje pod autorskim pręgierzem? Redzice (nieobecni w filmie)? Szkoła (obecna w filmie jako gmach i sympatyczna pani wychowawczyni)? A może młodzieżowa organizacja (wszystkie dzieci są pionierami, ale jest to raczej fakt „rodzajowy” niż istotny dramatyczny)? Film Bykowa sprawia wrażenie artystycznego uniku — stawia zbyt wiele pytań bez próby odpowiedzi.

Cztery pozostałe filmy „Konfrontacji” reprezentowały krąg anglosaski. Chyba nie warto zatrzymywać się nad banalnym „Powrotem do przyszłości”, który miał aspirację być jedynie dobrą rozrywką, choć nia nie stał się z racji bezwstydnego skopiowania po raz wtóry Spielbergowskich schematów. Nie bawiliśmy się nim (mimo efektownych zdjęć i wartkiego tempa), skoro wszystkie gagi i atrakcje były w najwyższym stopniu przewidywalne (co jest w filmie rozrywkowym niewybaczalnym grzechem), a infantylna anegdota, podanej bez mrugnienia okiem do widza, wręcz żenował. Swoją drogą smutny to fakt, że ostatnie zlagery kasowe w Stanach im są gipsze, tym bardziej wzięte.

Autentyczną zabawą był natomiast film „Purpurowa róża z Kairu” autorstwa Woody Allena, który kolejny raz wykazał, że jest twórcą pomysłowym, inteligentnym, dowcipnym i za-

kochanym w kinie. Jest to m. in. pastisz beznadziejnych hollywoodzkich romansideł z lat 30-tych. Pretekstem do tego podwójnego pastisu dostarcza tu prosty i zaskakujący (choć może nie do końca wykorzystany w gagach) pomysł fabularny. Postać z filmu, ekranowy amant „wyskakuje” w świat rzeczywisty. Oba światy, fikcyjny (tzn. fikcja w fikcji) i realny (tzn. realność w fikcji W. Allena), mieszają się ze sobą, choć jednocześnie wyrażają się różnicie między nimi. Niektóre sytuacje są znakomite: Baxter, postać z filmu, „wyskakuje” z ekranu, ale gdy chce za nim „wybiec” inna postać, jej nos jak o szybę rozplaszcza się o niewidzialną granicę dwóch światów. Baxter dziwi się że nie następuje „ściemnienie”, gdy w „realnym” świecie całuje swą wielbiczkę, kinomankę Cecylię („Jak to, w moim świecie wtedy zawsze jest ściemnienie, by można było dyskretnie z dala od cudzych oczu się kochać!); Baxter, filmowy amant uświadamia sobie dopiero w realnym świecie sferę seksu, której brak w romantycznym, ale „eunuchowym” filmie, będącym jego światem: Baxter z Cecylią w kościele — pyta czy Bóg, który stworzył świat jest scenarzystą; a Cecylia, która wraz z Baxterem „wchodzi” w świat ekranu, pijąc w „fikcyjnej” restauracji szampana, stwierdza ze zdumieniem, że to tylko subtytut... W sumie ta niby zabawa jest zarazem inteligentną refleksją o statusie kina, a ponieważ warsztat też jest nienaganny, „Purpurowa róża...”, obok filmów Klimowa i Szábo to trzecie (i niestety ostatnie) wydanie „Konfrontacji”.

W przeciwieństwie do W. Allena „Podróż do Indii”, głośny film Davida Leana, nie dostarcza żadnej satysfakcji. Ma on ambicję wpisać się w nurt angielskich rozrachunków z kolonialną przeszłością Imperium Brytyjskiego, który wydał m. in. „Szarych lekki brygady” czy „Gandhiego”, ale faktycznie dyskontuje temat kolonialny w sposób powierzchowny i nieznośnie sentymentalny. Schemat fabularny jest identyczny, jak w pierwszych odcinkach serialu „Klejnot w Koronie”: młoda dama przybyła do Indii staje się katalizatorem skandalu, co dla brytyjskiej elity stanowi pretekst dla zaostreżenia represji i tym większej separacji, dla Hindusów zaś — do żądań emancypacyjnych. Ten melodramat ze społecznymi ambicjami zawiera jednakże podział postaci na „dobre” i „złe”, a na okrasę pocztówkowe zdjęcia egzotycznej przyrody. Zatenowanie wywołuje ekliwy patos dialogów oraz nieumiejętność opowiadania przez tak znanego reżysera — niczemu nie służy efektarskie ujęcia zwalniające rytm narracji, a zupełnie niedopuszczalne jest rozbieżne montażem przestrzeni w kluczowych i najbardziej dramatycznych momentach.

Film Leana całkiem zawiódł, lecz największym rozczarowaniem okazał się gwózdź programu — „Amadeusz” Miloša Formana. Film ten wprawdzie otrzymał 8 Oscarów, lecz chyba o 8 za dużo i o jednego za mało — mianowicie dla Toma Hulca, grającego rolę Mozarta. Tylko jego kreacja wnosi trochę życia do tego nudnego, akademickiego filmu. Okrzyknijcie „Amadeusza” arcydziełem jest z pewnością nieuzasadnione, bo jest to najgłabszy film w dorobku Czechy, który zrezygnował z własnego niepowtarzalnego stylu, pamiętnego z „Czarnego Piotrusia”, „Odiotu”, „Hair”, na rzecz zmieszniczej i beztylej „poprawności” w adaptacji sztuki teatralnej. Jego jedyną zasługą jest stworzenie wystawnej oprawy wizualnej, zresztą jakby „zagięta” bogactwem konfliktu Mozart — Salieri. Natomiast precyzyjnie zarysowana idea jest zasługą wyjątkową scenarzysty Petera Shaffera, a zarazem autora teatralnego pierwowzoru. Teatralność właśnie zaciążyła nad filmem: obraz wydaje się przeladowanym nadkładem do słów; natrętny komentarz Salieriego wywala ideę i sens konfliktu „kawa na ławę”. Adaptowanie tak precyzyjnej i tak „zamkniętej” w swej strukturze sztuki nie było właściwym przedsięwzięciem dla Formana, artysty o stylu i temperamentie jakby „nowofalowym”. Forman poddał się tu Shafferowi, Mozartowi, i jak sądził przegrał. Ale znamienne, że właśnie taki Forman — rzemieślnik odnośi prestiżowy i komercyjny sukces na Zachodzie w skali, która nigdy wcześniej nie była jego udziałem.

TOMASZ KŁYS



Scena z filmu „Straszydło”, reż. Rolan Bykow.



1.

**K**rysta natychmiast porozumiała się z jakimś młodzieńcem w moim wieku i umieszcili mnie na pewien czas w pokoiku zastrzeżonym dla warszawskiego podziemia. Mieścił się na najwyższym piętrze dwuskrzydłowej ogromnej kamienicy na rogu Filutowej i Raszyńskiej. Pokoik był mały; takiej powierzchni nie wymyśliłaby nawet fantazja dzisiejszych normatywodawców. Mieściło się w nim ledwie łóżko i stosunkowo szeroki parapet, który użytkowałem jako biurko.

Po wielkiej ciszy koszmarna była ta pierwsza warszawska noc. Niebawem przekonałem się, że strzały nocne, serie automatów, krzyki, tupot uciekających i goniących nóg to stała „die kleine Nachtmusik” miasta, które przybliżyło się do losu współczesnej Kartaginy. Tej przeraźliwej nocy — wstyd się przyznać — opuściła mnie odwaga, która mi dotrzymywała towarzysztwa od pierwszych sekund ucieczki przed gestapo, a nie zawiodła podczas leśnej rąbani, kiedy to dość mając krycia się i odstrzelania w przebiegu od krzaka do krzaka zaprzęgałem, i nawet głupio przyznałem się do tego Andrzejowi... uderzył mnie na bagnety. Nie zależało to jednak ode mnie, poza tym nie posiadaliśmy tego, już i we wrześnie archaiczno, oręza.

2.

Na drugi dzień udałem się na Brzozową, by zameldować się u profesora Juliana Krzyżanowskiego i oznajmić mu, że trwam niezłomnie w zamiarze pomyślnego dokończenia roku akademickiego, choć muszę niesamowicie gonić (dwie zaległe prace, w tym jedna u niego, egzaminu, kolokwium). Profesor powitał mnie, jak zawsze, życzliwie, tyle że nazbyt sucho, jak na moje sentymentalne czy, powiedziałbym, rozmazane wymagania człowieka, co otarł się o śmierć. Przyjął moje zjawienie się bez zdziwienia, skinął głową, że dobrze, samo przez się zrozumiałe. Poinformował o zmianie godzin niektórych ćwiczeń oraz lokalu wykładow prof. Tatarskiego z historii sztuki. Nieco zadowolony, że nie objawił wyższego zainteresowania przyczyną mojej przeszłości dwumiesięcznej nieobecności, przystąpiłem do snucia opowieści o swoich perypetiach. Przerwał mi z miejsca charakterystycznym strzępającym ruchem palców. Ruch zacytował, że nie chce i nie powinien wiedzieć. Wyciągnął za to z szuflady dwa tysiące złotych i wręczając mi, nazwał to „stypendium uniwersyteckim”, czym nie tylko poratował, gdyż miałem już niewiele ponad górala, lecz i podbił bębenek: „Był kto — rozmawiałem — stypendium nie dostaje”. Stanowczo jednak sprzeciwił się, kiedy chciałem mu „stypendium” pokwitować. Z kolei napisał na kartelusku kilka obojętnych słów — bódaj coś o pogodzie — i polecił mi iść z tym zaraz — dochodziła dwunasta — na Foksal. Podał adres. Mam ten list dać pani Goetlowej. Tam na piętrze, gdzie sala. Znajdę ją na pewno — uśmiechnął się i w charakterystyczny dla niego sposób skinął głową na znak, że „audiencia skończona”.

3.

Wnet znalazłem się na Foksal. Budynek miał bogaty, eklektyczny wystrój, schody z białego marmuru, z secesyjną żelwną poręczą. Właśnie zstępował z nich z wolna, trzymając się poręczy — zapewne w myśl zasady, że od tego jest urządzenie by zeń korzystać. Stanisław Frybes. Nie bardzo go lubiłem (ważniacy i był zaprzeczeniem „cygana”), jednakże rozrzucony tym spotkaniem po mieszkach oddalenia od kolegów z kompletu, chciałem mu się rzucić na szyję... Przywitał się ze mną grzecznie, ale w sposób wykluczający tego rodzaju poufalskość, po chwili znikł w słonecznym prostokącie drzwi na ulicę.

4.

Która z pań to pani Goetlowa — domyśliłem się od razu. Siedziała przy meblowym biurku i czasem odwracając głowę w tamtym kierunku wydawała polecenia, nie opadała drzwi od kuchni. Sala była sporawa, obstawiona stolikami. Przy nich ludzie, w różnym, ale na ogół zaawansowanym wieku, choć było i trochę młodzieży, cierpliwie czekali na godzinę pierwszą. Z wybieciem jej miał się wynurzyć z okienka kuchni pierwsze dary boże. Dopiero teraz, rzuciwszy okiem na salę, domyśliłem się, po co mnie tu profesor przysłał z dwuznacznym karteluszkiem. Pani Goetlowa rzuciła na karteluszek okiem, podała go, i podała mi miłą rękę z uśmiechem damy, znającej warszawsko-soplicowską zasadę, „grzeczność należy się wszystkim”. „Prosimy uprzejmie” — oznajmiła, nadając mi tymi słowami prawa korzystającego ze stołówek literackiej. Korzystali z niej głównie pisarze, zwłaszcza ci najbardziej pokrzywdzeni przez wojnę, starzy i beznadzi. Ale nie tylko — także profesura, a w szczególnych wypadkach młodzi pracownicy naukowi, początkujący poeci i paru studentów. Zostałem poinformowany przez panią Goetlową, że obiady są wydawane między pierwszą a trzecią. Wyznaczyła mi też miejsce, objaśniając jednak, że ponieważ miejsce jest mało, a stołowników dużo, nie muszę się tego miejsca kurczowo trzymać: jeśli będzie zajęte mogę usiąść przy jakimś innym wolnym. Półobrotem twarzy pokazała mi „mój” stół. Znajdował się mniej więcej pośrodku. Siedzieli przy nim: starszy brzydki pan w ciemnych okularach, o pokiereszowanej twarzy, i młody człowiek — przystojny i słusznej postawy. Jako człowiek ambitny, a do tego od pół godziny „bogaty” (stypendium) zapalałem chęcią uiszczenia z góry należności za stołowanie. Pani Goetlowa nie przyjęła jednak moich „młynarek”. Uśmiechnęła się z pewnym rozbawieniem (dostrzegam przez grubą mgłę pamięci jakby przebieg tego uśmiechu: bódaj dlatego, że wtedy uśmiech u ludzi starszych był rzadkością).

— Jak to? — dałem wyraz zdumieniu.  
— Niech pan się nie martwi o nasze finanse. My też mamy... „stypendium”. Naturalnie — załatwiała — nie aż tak wielkie jak pan.  
Potraktowałem jej uśmiech jako znak szczególniejszej przyjaźni, zaprzęgałem z koleżanami, że jakich to przyczyn znalazłem się

poza domem i poza miastem rodzinnym. Przerwała mi jednak w pół zdania — tak samo szybko i zdecydowanie, jak przed chwilą profesor. Wciąż trudno mi się było przyzwyczaić do absolutnej wierności zasadzie niezwiązania się nikomu z przebiegiem z należeniem do „czegoś tam”.

5.

Mimo jednak tej powszechnie praktykowanej powściągliwości języka domyśliłem się niebawem (nie sposób zresztą było nie domyślić się), że pani Goetlowa nie jest il tylko klerowniczka naszej stołówki, lecz z nader wysokiego szczebla w konspiracji opiekunką wszystkich wymagających opieki ludzi literatury i nauki. Dowiedziałem się też, że to właśnie żona Ferdynanda Goetla, jednego z największych mistrzów prozy przed wojną, autora mego ulubionego „Kar-chat” i przedziwnie skomponowanej auto-

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

## Ten nierozmowny staruszek siedzący naprzeciw

tematycznej powieści „Z dnia na dzień”. Może nie od rzeczy byłoby przypomnieć, bo wielu już nie wie, że Goetel był wieloletnim prezesem Polskiego PEN-Clubu i ostatnim przed wojną prezesem Zawodowego Związku Literatów Polskich. Obserwując pracę i podziwiając energię oraz umiejętność dawania sobie rady ze stołownikami nieraz bardzo kapryśnymi czy wręcz nieznosnymi — byłem więcej niż pewien, że na jutro po wygranej wojnie, kiedy nastanie pora wynagradzania zasług, zasługi Goetlowej zostaną wysoko uhonorowane. Niestety. Na Ferdynanda Goetla — może z racji jego dawnych poglądów zbyt prawicowych, a może z racji dużego autorytetu literackiego — padło spojrzenie Niemców, gdy montowali przymusową „komisję” do wydania werdyktu — rzecz jasna, na korzyść okupanta — w jednej z najbardziej niejasnych i tragicznych spraw polskiej martyrologii wojennej. Znakiem pisarza, o ile wiem, ściągnięty w nocy, zawieszony per fas et nefas samolotem na miejsce „autorytatywnych badań”, został przez nasze nowe władze niebawem uznany za człowieka zdrady; znalazł się za granicą, a wokół jego dorobku literackiego i pozytywnych działań w czasach pogardy zapadło milczenie — długie, aż do dzisiejszego zapomnienia.

6.

Współbiedniacy (czyli według dzisiejszej cudacznej urzędowej polszczyzny — konsumenci) milczkiem zżwo jedli i pili, jak zwykle. Zię wynosili. Zdawałem sobie zbyt dobrze sprawę, że dookoła mnie siorbie, krztusi się i z oblicza pani Goetlowej stara się wywróżyć, czy nie znajdzie aby jutro w zupie wśród selerów i porów jakichś nieco zawieszonych kawałków mięsa — pół Olimpu współczesnego, a i wczorajszej literatury polskiej. Onieśmiało mnie to mocno i przez pewien czas moje kontakty towarzyskie ograniczały się do skwapliwego mówienia wszystkim „smacznego” (a nie jest to słowo, którym wchodził się do historii literatury). Naturalnie, z wyjątkiem Frybesa i dorywczo wpadającego Baczynskiego. Bódaj wtedy Krzysztof pokazał mi grafikę, którą sobie wybrał na okładkę swego, jak się okazało, jedynego za życia tomiku. Przyjrzałem jej się ze zgrozą i prosiłem, żeby wybrał jednak na okładkę coś innego. Rysunek przedstawiał samego Krzysztofa (podobieństwo zbyt wielkie, żeby nie zauważyć), jak pada trafiony kulą i padając wypuszcza z ręki rewolwer.

7.

Po jakimś czasie na tyle jednak oswoilem się z tym palaszującym otoczeniem, że w nawiązywanych rozmowach wyszedłem poza „konsumpcyjne” oceny i futurologię.

8.

I tak się zdarzyło, że rozmawiałem któregoś dnia niewątpliwie z jakimś znanym poetą o Grecji. Rozmowa była niezmiernie ciekawa, toteż wbrew obowiązującemu zwyczajowi, prowadziłem ją jeszcze, nie zwalniając stolika, natychmiast po „wylizaniu”, jak to się mówiło, chlebem do czysta talerzy. Opowiadał o świętej górze Athos i skarbach sztuki w jej niezliczonych klasztorach pobudowanych na malowniczych stokach. Święta góra — informował — posiada prawa obszaru suwerennego. Zespół sanktuariów nie wykształcił jednak jakiegokolwiek form państwowych, w odróżnieniu od, na przykład, Watykanu. Przedstawienie się nazwiskami nie było w tamtych czasach nieodzowne. Toteż nie wiedziałem na kogo to nazajutrz długo a bez skutku czekałem: poeta miał mi opowiedzieć dokładnie, jak wyglądają miejsca homeryckie. Nie pamiętam, kto mnie powiadomił, że mogę nie czekać, gdyż mój rozmówca Tadeusz Hollender (autor najpiękniejszego dla mnie wiersza okupacyjnego „Pożegnanie Grecji”) został aresztowany.

9.

Jak już wspominałem, byłem raczej przypisany do środowiska stołu, przy którym siedział półślep, starszy pan, a czasem również przystojny, nierozmowny nordyk. Wcale nie taki młody; miał już chyba za trzydzieści pięć lat. Krzysztof wyjął mi, że to autor „Koly-

sanki”, wiersza, który przed wojną wyjątkowo lubilem. Odgrywał w nim wybitnie ważną rolę cytat z dawnej piosenki żołnierskiej „Rozkwitały pęki białych róż”. Cytat w tak silnym stopniu decydował o dramaturgii i nastroju wiersza (nastroju, spod którego długo nie można się było otrząsnąć), że właściwie nie był normalnym cytatem, lecz integralną częścią wiersza. A poza tym, jak do tamtej chwili, nie spotkałem wiersza z tak przedziwną pointą. Pointą niesłychanie dramatyczną właśnie przez to, że jej ni by nie ma. Ze autor przed czasem kończy wiersz niemal przyznaniem się uczciwego ucznia wyrwanego do tablicy: „Dalej nie umiem”. Intrygowało mnie od dawna znaczenie tej dziwnej pointy. Czy autor chciał przez to powiedzieć, że dalszy ciąg wiersza (znaczenie wojennego trudu saperskiego nad rzeką Stochód) zdolna jest dopisać jedynie tylko historia, jako że okres wieszczów się skończył. Czy i on też chce powiedzieć poprzez to zakończenie, że pewne stany psychiczne są niewyróżnialne, gdyż „język kłamie głosowi” a głos myśli kłamie”.

Gdy zapytałem o to przy kapuśniku autora „Kolyśanki”, głos załamał mi się ze wzruszenia. Odparł, iż nie znosi tego wiersza, bo jest cikliwy, a wiersz cikliwy to wiersz zły. Wszyscy, jakby się złożyło — powiedział — wciąż mu zachwajały ten zły wiersz, a poza tym on nie ma pojęcia, o co chciał wtedy wyrazić i czy w ogóle cośkolwiek chciał wyrazić. Po czym oświecił mnie, że nazwa „kolduny litewskie” jest bzdurna: na Litwie wcale ich się nie nazywa litewskimi, a w Warszawie — teraz z kolei cytował wiersza — „o Litwie dalebóg mniej wiedz niż o Chinach”.

10.

Intrygował mnie bardziej jeszcze ten nierozmowny staruszek siedzący naprzeciw. Ktoś powiedział, że puścili go już drugi raz z Pawlaka. Byłem przez to pewien, że wybite oko oraz zniekształcone okolice oczodołów i nasady nosa to pamiątka po pobycie w warszawskim „anus mundi”. Niebawem jednak z podśluchanej rozmowy przy innym stoliku domyśliłem się, że razem z autorem „Kolyśanki” siedzi przy znakomitym satyryku, dramaturgu (słynne obrazy historyczne) i publicyście o najkaskiwszym przed wojną piórze. A więc tamto jego kalektwo to odwet za jakąś — zdaniem zadziereżystycznych oficerów, którzy z kultu Marszałka uczynili swoistą i nietolerancyjną religię — uchybiającą uwagę o Pilsudskim. Wywieźli go przemocą za miasto i tak urządzili.

— Zdałem sobie jednocześnie sprawę z rzeczy osobliwej: mój sąsiad spoza ciemnych okularów, praktycznie jednym okiem obserwował, z reporterskim niejakim zaciekawieniem, wszystkich i wszystko. Owo patrzyenie jednym, jakby nieruchomym okiem kojarzyło mi się ze sposobem obserwacji okolicy przez drapieżnego ptaka. Wydawał by się mogło, że choć niedowidzący, widzi na wylot. Z jego zainteresowaniem ludźmi i z energicznymi ruchami rąk dysharmonizowało ogólne niedołęstwo fizyczne i trudność poruszania się.

Dopatrzyłem się jeszcze innej dziwności wiążącej się z jego osobą: każdy niemal stołownik przechodząc kłaniał mu się z rewerencją, ale prawie nikt nie podchodził, żeby wymienić choć kilka słów. „Uważaj, on gryzie” — powiedział, wskazując na niego, w początkach stołowania, Krzysztof. Nie podzielałem tej niechęci. Przeciwnie. Kiedy przed wojną czytaliśmy w domu, nieraz głośno, jego zresztą naprawdę zjadliwie i często niesprawdliwie wystąpienia publicystyczne (trudno bowiem nazwać je artykułami) w „Gazecie Warszawskiej”, nie mogliśmy wyjść z podziwu tak nad jego erudycją, jak niezwykle wyważały i dowcipnymi — prawdą, że ostrymi — kalamburami. Jednak mój obecny sąsiad był dla mnie przede wszystkim autorem lirycznych, ścisłych, wybitnych ekwilibristyki słownej książeczek: „Młodość Chopina” i „Najpiękniejszy człowiek mego pokolenia” (o bracie Albercie, którego od tamtej chwili pokochałem i nie mogłem się doczekać wyniesienia Go na odtarzę).

W momencie uświadomienia sobie, kim jest sąsiad, stanęła mi przed oczami tamta scena: pierwsze zapadnięcie kurtyny po premierowym wystawieniu „Cezara i człowieka” — dramat o młodym Koperniku we Włoszech, który znalazł się przypadkowo na krwawym dworze Borgiów — prostoduszny, jak może być prostoduszonym zapatrzoną w gwiazdy młody astronom. Słowianin w dodatku. Nie pamiętam, jak to się stało, że byłem na tej premierze. Może to wujek Kinnmann przez swoje różnokierunkowe znajomości załatwił wtedy bilety? Kurtyna unosi się i opada jak wańka-wstańka (porównanie dzisiejsze, wtedy bym nie wiedział, co to takie) i wciąż to: „Autor! Autor!”. Wreszcie — tak, mój obecny sąsiad (triumfujący myśliciel, bo właśnie upolował kawałek mięsa w zupie) zjawia się na scenie, rozdziela swoją figurką po raz pierwszy naprawdę zakochaną rozpustną Lukrecję od nie rozumiejącego, w jaką wpadł kłosał Kopernika, jakby po raz drugi chciał ocalić-przysiężonego autora „De revolutionibus orbium coelestium” od przedwczesnej śmierci z rąk Cezara...

11.

Spostrzegł, że przyglądam mu się od paru chwil z niejakim nabożeństwem i pokazał mi za to... czubek języka... Nie zrażony tym niespodziewanym gorszącym uczynkiem pisarza, następnego dnia, w sytuacji wyjątkowo sam

na sam przy stoliku, zwierzyłem mu się ze swoich wrażeń z lektury jego „Strośca ukaranego” (dramat o Kajetanie Węglerskim), a i z tamtej premiery Cezara (zwłaszcza z kapitalnej sceny, kiedy kokietowany przez Lukrecję Kopernik spóźnia się na historyczny wykład dla najwyższych dygnitarzy Watykanu, a zza sceny rozlega się takie samo tupanie, jak u nas w Mińsku przed wojną, kiedy film z Fliperem i Flapem zbyt długo nie ukazywał się na ekranie. Ktoś wpada z przerażeniem na scenę i przerywa sielankę okrzykiem: „Ich eminencje tupią!”). Sąsiad słuchał mnie tym razem bez... nie wiem, jak je nazwać — wysoków, ale i bez zainteresowania. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, że był (podobnie jak i autor „Kolyśanki”) przyzwyczajony do wynurzeń przeróżnych entuzjastów, snobizujących się na wdawanie w rozmowy z „olimpijczykami”. Może jednak dlatego, że właśnie zdałem sobie z tego sprawę, a może z nadmiaru szczerości — doś, że przyznałem mu się w tym samym monologu, że nie przepadam za jego kalamburami antyzydowskimi, w rodzaju „Jadą moiśki literackie” na znakomite „Wiadomości Literackie”, oraz że mam do niego żal i pretensję za głosny swego czasu wiersz-pamflet „Gwidz na waszą romantyczną trójkę”. Wtedy właśnie zauważyłem na jego pokiereszowanej twarzy odciśnięcie zainteresowania oraz coś jakby uśmiech. Przysiągłbym... aprobaty.

Następnego dnia sąsiad nie przyszedł do stołówki. Kogoś spytałem, czy nie wie, co się stało. Czy aby nie chory?

— Ech, nie! Ktoś mu tam znów powiedział, że inny ktoś czy to widział, czy wszedł w posiadanie części jego rękopisów i białych kruczków, które na pewno zresztą w całości spłonęły w trzydziestym dziewiątym w klasztoru u albertynów. Stary więc poczuł się ranżniej i popędził za tropem.

Kto mógł być tym informatorem? Może Roman Zrebrowicz, który ostatnie lata potem spędził w Łodzi i podczas rzadkich z nim kontaktów zgadzało się, że korzystaliśmy przez jakiś czas ze stołówki na Foksal. Mówił, że pamięta mnie, że siedział przy sąsiednim stoliku. Ale wtedy wspomnienia nie miały jeszcze dla mnie większego znaczenia. Zwłaszcza że nastał jak raz okres nieodpowiedni do zwierzeń.

— Długo już chyba nie pociągnie — zauważył mój informator.

Tak po prostu: śmierć była wtedy czymś zbyt spowszedniałym i zwyczajnym, by przyjmować wiadomość o niej z pochylem głowy i szepnięciem „wieczny odpoczynek”.

A jednak stary, schorowany pisarz ciągnął dalej swój wózek żywota i przychodził do stołówki. Tyle że był bardziej skapaniały niż przedtem. Nie spytałem go o te książki. Zresztą na pewno trop okazał się fałszywy, poza tym byłem pod wrażeniem kilku niezwykle dramatycznych śmierci i aresztowań w moim bezpośrednim otoczeniu oraz wśród poetów „SiNu”.

12.

Już było chyba po moich egzaminach, a może nawet na początku następnego roku akademickiego — nie pamiętam. Wstąpiłem bódaj po raz ostatni do stołówki na Foksal: urządziłem się już inaczej i dojeżdżałem na studia z Otwocka.

Stary pisarz spojrzal na mnie po piątemu i przywołał uniesieniem ręki do naszego niedawno wspólnego stolika. Uniósł się niegrzecznie, jakby chciał coś bardzo pilnego powiedzieć. Może, że okolice Książęcej lub Powiśla są obstawione, więc lepiej tamtejsze nie iść. Ale nie. Wyszeptał coś, czego nie rozumiałem, zwłaszcza że nie był to czas do smakowania i rozgryzania kalamburów na tematy historiozoficzne.

Co drugi Polonus to najpiękniejszy człowiek pokolenia, a przecież szczytem piękności jest kolossal artystyczne Henkerkunst podczas wieszania Wilka... — zaczął szukać z wysiłkiem słów do zamierzonej, jak się okazało, rymowanki (a może miał je przed chwilą na końcu języka, a tylko, jak się zdarza starym — teraz mnie — zapomniał) — i Icka przez Frycka. A może też i Frycka przez Frycka — dodał po chwili — bo są i für-Frycki i gegen-Frycki. Dalszy ciąg tej perory, w której nie doszukiwałem się zbyt wielkiego sensu, choć wtedy w latach młodości dość dobrze wszystko zapamiętałem, wypadł daleko sprawniej, jakby powtórzał zdania kiedyś uformowane: — Do pięknych ludzi pokolenia można mieć nawet i kompassja, lecz komfort dotrzymywania paktołów rezerwuje się tylko dla młodych, a nie zaś pięknych i malowanych...

— Zimno ci? Coś tak nagle drgnął? — spytała mnie przed kilkoma laty siostra podczas — też premierowego — wystawienia w Łodzi przez Dejmka „Fryderyka Wielkiego”. A to dobiegł mnie z bardzo daleka, zza lat świetlnych wspólny głos Fryderyka Wielkiego i odeszłego w historię autora. Głos, a raczej krztuszący się od masochistycznego chichotu szepet starca „o panach Polakach z czołami i oczyma w chmurach”. Tamten autocytat nadbiegł z ową niesamowitą dala z taką wyrazistością, jakby autor siedział właśnie w fotelu, gdzie siostra.

Przypomniałem sobie w tej chwili tę scenę i scenę następną. Autor „Fryderyka Wielkiego” nieoczekiwanie (nie znosił, pamiętam, pomocy) zwrócił się do mnie, żebym go sprowadził po schodach. — Po równym jeszcze chodzę tak samo jak Kusociński — zapewniał i znów zaśmiał się, a ja zastanowiłem się wtedy, czy on wie, że Kusociński to biegacz, nie piechur, i że już nie biega i nie chodzi, lecz leży zastrzelony w Palmirach...

Sprowadziłem starego człowieka we dwóch (może ten drugi to był autor „Kolyśanki”, a może Bogdan Ostromecki?) tak, jakby się staczało ze schodów posąg Komandora. Sprowadziłem go (ja) — do utraty tchu i ciemności w oczach. Ktoś go potem odwiózł dorożką (ryksza nie chciała).

Na dole schodów, przed wyjściem na ulicę stary pisarz spojrzal na mnie inaczej niż zwykle: nie tylko przyjaźnie, lecz i serdecznie, jak człowiek wyjątkowo dobry. I nawet spojrzal pogodnie.

— Masz o jedną sprawność więcej, harce-ryzku żwawy!

Tu kończy się to moje wspomnienie o Adol-fie Nowaczyńskim.

(Ze złożonego w KAW-ie tomu esejów i wspomnień)



# Polemiki • Listy • Opinie

## PO „WIELKIM LESIE”

Z zaprzyjaźnionej redakcji lubelskiej „Kameny” nadszedł list w formie fraszki. Publikujemy ją w oczekiwaniu na kolejną powieść Zbigniewa Nienackiego. Podobno już się pisał. A oto owa fraszka Marka Adama Jaworskiego.

### NIENACKI

Wszędzie ciągle hula  
pióra Kaligula,  
myśli, że z tych orgii  
przejdzie do historii,  
ale — jak widać niesie —  
zbił się w wielkim lesie!

## NA 75-LECIE TEATRU POLSKIEGO W WARSZAWIE

Dla upamiętnienia 75 rocznicy powstania Teatru Polskiego w Warszawie, która przypadnie 29 stycznia 1988 roku, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu m. st. Warszawy, Stowarzyszenie Autorów ZAIKS oraz Teatr Polski w Warszawie ogłaszają dwustopniowy konkurs na napisanie i wystawienie utworu scenicznego.

### I stopień — konkurs na napisanie utworu scenicznego.

Konkurs organizowany jest w dwóch formach: zamkniętej i otwartej. W konkursie zamkniętym mogą uczestniczyć wyłącznie autorzy polscy, zaproszeni przez organizatorów konkursu. Autor, przyjmujący zaproszenie do udziału w konkursie otrzymuje wadium w wysokości 50.000 złotych. Wadium podlega zwrotowi w wypadku nienadania utworu, będącego przedmiotem konkursu, w terminie ustalonym w regulaminie.

W konkursie otwartym mogą uczestniczyć autorzy polscy, zamieszkał w kraju i za granicą, którzy nie zostali zaproszeni do udziału w konkursie zamkniętym.

Przedmiotem konkursu jest pełnospektaklowy utwór sceniczny (tj. utwór, którego realizacja sceniczna trwa minimum 90 min.). Temat i forma literacka są dowolne. Nie ogranicza się ilości utworów nadesłanych na konkurs przez jednego autora.

Utwór zgłoszony na konkurs powinien być sporządzony w 3 egzemplarzach maszynopisu. Należy oznaczyć go godłem. Do utworu autor dołącza zamkniętą kopertę oznaczoną tym samym godłem, zawierającą imię, nazwisko i adres autora.

Utwory zgłoszone na konkurs należy nadsyłać w terminie do 30 września 1987 roku pod adresem: Teatr Polski ul. Karasia 2, 00-327 Warszawa z zaznaczeniem na kopercie: „konkurs dramatyczny”.

Utwory zgłoszone na konkurs oceni powołane przez organizatorów konkursu jury, złożone z reżyserów i dyrektorów artystycznych teatrów oraz przedstawicieli organizatorów pod przewodnictwem dyrektora Teatru Polskiego.

Laureatom konkursu zamkniętego przyznane będą następujące nagrody: I nagroda w wysokości zł 200.000,—, II nagroda zł 170.000,—, III nagroda zł 140.000,— oraz trzy wyróżnienia po 75.000 złotych.

Laureatom konkursu otwartego przyznane będą następujące nagrody: I nagroda w wysokości zł 180.000,—, II nagroda zł 120.000,—, III nagroda zł 100.000,— oraz trzy wyróżnienia po 70.000 złotych.

Jury ma obowiązek przyznać wszystkie nagrody w ustalonej wysokości i nie może dokonywać żadnych zmian w podziale nagród. Jury może przyznać ponadto wyróżnienia honorowe. Organizatorzy konkursu — w miarę posiadanych środków — mogą podwyższyć wysokość nagród.

Ogłoszenie wyników konkursu oraz wręczenie nagród laureatom nastąpi 29 stycznia 1988 roku w Teatrze Polskim w Warszawie.

Nagrody i wyróżnienia w konkursie zostaną ufundowane przez Stowarzyszenie Autorów ZAIKS i Urząd Miasta Stołecznego Warszawy.

Sekretariat konkursu prowadzi Dział Literacki Teatru Polskiego w Warszawie. Organizatorzy konkursu nie zwracają egzemplarzy utworów nadesłanych na konkurs. Autorzy wystawionych lub wydanych druków utworów scenicznych otrzymają honoraria autorskie w wysokości ustalonej obowiązującymi przepisami.

### II stopień — konkurs na wystawienie utworu scenicznego.

Drugi stopień konkursu rozpoczyna się w dniu ogłoszenia wyników I stopnia konkursu, tj. 29 stycznia 1988 r. W konkursie uczestniczyć mogą teatry polskie i zagraniczne. Przedmiotem konkursu jest wystawienie utworu scenicznego nagrodzonego lub wyróżnionego w I stopniu konkursu w terminie do 31 grudnia 1988 roku. Nie ogranicza się ilości utworów wystawianych przez jeden teatr.

Organizatorzy konkursu opublikują nagrodzone i wyróżnione w I stopniu konkursu utwory sceniczne. Utwory te zostaną rozesłane do teatrów oraz złożone do dyspozycji zainteresowanych w Stowarzyszeniu Autorów ZAIKS oraz w Agencji Autorskiej w Warszawie, ul. Hipotečna 2.

Teatr Polski wystawi dwa spośród nagrodzonych lub wyróżnionych utworów.

Przedstawienia zgłoszone do udziału w konkursie oceni powołane przez organizatorów jury, złożone z dramaturgów i przedstawicieli organizatorów, pod przewodnictwem Prezesa Zarządu Stowarzyszenia Autorów ZAIKS.

Nagrody w konkursie otrzymają reżyserzy, scenografowie i aktorzy. Wysokość nagród zostanie ustalona w terminie późniejszym i podana do wiadomości zainteresowanych do 29 stycznia 1988 roku.

Ogłoszenie wyników i wręczenie nagród laureatom II stopnia konkursu nastąpi w pierwszym kwartale 1990 roku. Organizatorzy konkursu dołożą starań, aby nagrodzone inscenizacje przedstawić publiczności warszawskiej.

## ZAWSZE W MAJU O TYM MYŚLĘ

W moich wspomnieniach maj 1926 roku nie zapisał się niczym szczególnym. Miałem wtedy zaledwie trzy lata. Tak więc z opiniami i osądami tamtych dni zetknąłem się znacznie później. Ale ponieważ wyrosłem w kulisach Józefa Piłsudskiego — wuj, którego podziwiałem skrycie, był legionistą, odznaczonym Krzyżem Virtuti Militari — z ogromną przykrością przyjmowałem do wiadomości oceny bez opamiętania krytyczne. Im oskarżenia były gwałtowniejsze, tym większy budziły we mnie sprzeciw. Nie sądzę, abym w tym przypadku był jakimś wyjątkiem, była to chyba reakcja normalna, ludzka. Z upływem lat oceny te łagodniały, aż stały się możliwe, przynajmniej przeze mnie, do zaakceptowania. Jak chociażby ogłoszone w „Polityce” (nr 19) wspomnienie prof. Janusza Pawłowskiego. Nie będąc jednak historykiem przywykłym do rygorów cechujących zawodowego badacza dziejów, nawet

teraz po pogodzeniu się już z bardziej wyważonymi ocenami tego zdarzenia mam wątpliwości i pytania, na które szukam odpowiedzi.

W 1918 roku Polska mogła wybrać się na niepodległość tylko jako państwo burżuazyjne, tej prawdy nie kwestionuje już chyba nikt. Od tego, jaka będzie Polska, zależały nasze zachodnie granice. I nie tylko. Historycy dziejów KPP przyznają, iż niedooceniając powszechnego pragnienia narodu własnej niepodległości, było wielkim błędem, który na wiele lat zaciążył na znaczeniu partii w społeczeństwie. Błędem tego nie popełnił Józef Piłsudski.

Zaledwie Polska powstała, zaczęły ją rozrywać skłócone z sobą stronnictwa, zawzięcie obalały jeden rząd za drugim. Wódz Polski nierządnej ożył. Walki partyjne w sejmie coraz częściej przeradzały się w łososie widowiska. Tymczasem w Związku Radzieckim krystalizowała się silna władza centralna. W Niemczech zaprawiona w służbie dla cesarstwa administracja świadczyła teraz swoje usługi, z doskonałym skutkiem, republice, dźwigając ją z rewolucyjnego chaosu. A u nas? U nas w osiem lat po odzyskaniu niepodległości nie zdołaliśmy utworzyć rządu zdolnego do rządzenia. Łatwo jest sądzić po latach, ale patrzeć jak się dzieło swoich marzeń marnuje było chyba ponad siły normalnego człowieka. Reakcja taka bojowników o niepodległość była naturalnym ludzkim odruchem.

Latą dojrzewania, kształtowania się polskiej demokracji zostały po prostu zmarnowane, a czasu mieliśmy coraz mniej, musieliśmy się spieszyć ze scaleniem narodu pod sztandarem niepodległości. Historia dowiodła, jak mało dane nam było lat na okrzepnięcie w polskości, a co dopiero na stworzenie sprawnie działającej maszyny napędzającej życie społeczne. Utworzenie rządów silnej ręki zdawało się być koniecznością, potrzebą chwili. Rozumieli to polscy komuniści, którzy zamach majowy poparli.

Ale tak już było, że popierające zamach stronnictwa zapomnieli o tym, iż utworzenie silnego rządu osłabi ich pozycję, uszczupli ich wpływy i znaczenie. Rozumieli przyczynę zła, ale nie chcieli im zaradzić własnym kosztem. I tak zaczął się dramat majowego ciał dalszy.

Na trudne narodziny II Rzeczypospolitej i na jej jeszcze trudniejsze życie patrzyliśmy, i w wielu przypadkach nadal patrzymy, oczami jej krytyków, bywało, że nieprzejednanych jak dawniej i zaciętych. Jednak jednoznaczne potępienie zamachu, podobnie jak jego gloryfikacja, są w równej mierze fałszywe. Wydarzenie to bowiem sprawiło w naszym życiu społecznym tyleż zła, co i dobra. Widać jedno bez drugiego obejść się nie mogło.

Polska nie mogła być słaba, potrzebne nam było silne państwo, silna, spajająca rozbite dziedziny, władza centralna. Przywracająca zdrowie lekarstwa, prawie wszystkie, bywały również wielce szkodliwe, ale czy ta świadomość powstrzymała kogokolwiek przed przyjęciem leku w chwili zagrożenia życia? A w maju 1926 roku życie Polski było już w najwyższym stopniu zagrożone. Rozumiała to większość społeczeństwa i dlatego na zamach przyzwoliła.

Dramatem największym II Rzeczypospolitej było to, że powstała z marzeń do niepodległego bytu nie mogła niczych ambicji ani nadziei zaspokoić, była na to za biedna, za słaba, za bardzo trójrozdarcie poróżniona, by nawet takim zwykłym potrzebom społecznym sprostać, jak np. zapewnienie wszystkim pracy. A jednak wspominam ją z czułością, bo dzięki niej mamy Polskę dziś.

KAROL OBIIDNIAK

## INNA MORALNOŚĆ — INNE SPOŁECZEŃSTWO

Słowo „odnowa” nie jest obce naszej rzeczywistości społeczno-politycznej. Odnowialiśmy się gospodarczo, politycznie, społecznie, nawet administracyjnie. Teraz kolej na odnowę moralną; sięgnąć w głąb siebie, przeanalizować swoje postępowanie, dostrzec błędy, przebudować siebie. Zapomnieliśmy. Ekspresowa przemiana szatana w anioła. To tak, jakby ciemnemu od brudów życia codziennego wyrosły nagle anielskie białe skrzydła. I co? Skrzydła są, ale czy moralny smoluch stał się przez to mniej czarny, mniej brudny?

Głębia dla hasła odnowy moralnej jest twarda. Twardaśa nawet niż serca, które ma ono zmniejszyć. To, co się stało ze społeczeństwem polskim w ciągu ostatnich 6-7 lat, nie da się zmienić w ciągu krótkiego czasu, to jest praca rozpisaną na pokolenia, a i tak nie wszystko uda się ocalić.

Upadek zasad moralnych został wmontowany w codzienny obraz życia. W codzienną jakość życia i nie można tego zmienić w administracyjny sposób. Proces ten narastał, spiętrał się i wreszcie eksplodował, ukazując przez powstającą w masie społecznej szczyplinę upiorną świat bezideowości. Nie wierzę ani przez chwilę, żeby udało się cokolwiek w tym obrazie zmienić. Zmiany zasły za daleko. Zmienili się nie tylko ludzie, ale cały ludzki sposób myślenia, działania, zachowania, system wzajemnych odniesień, pragnień, wyobrażeń, nadziei. Właściwie nie ma już polskiego społeczeństwa jako całości. Nie ma grupy ludzi zdolnej do wspólnego funkcjonowania dla jakichś tam celów. Są miliony pojedynczych ogniw, z których każdy żyje tylko dla siebie i ewentualnie kręgu swoich najbliższych. Jasne, że są w tej materii wyjątki, ale one tylko potwierdzają regułę. Każde normalne społeczeństwo, poza rzeczą jasną formalnymi organizacjami i zrzeszeniami, posiada tysiąc nieformalnych, zupełnie spontanicznych kółek, klubów, grup itp., w których ludzie nie występują, w których ludzie po prostu są, bo chcą być razem, bo chcą coś robić. Nawet to osławione, anegdotyczne kółko różańcowe, którego celem bywało opłotkowanie sąsiadek, miało w końcu jakiś motyw działania. Im więcej takich związków, takich placzek porozumienia między ludźmi, tym lepiej. Celowo upraszczam zagadnienie, ale chcę zapytać, jak wyglądają platformy współdziałania ludzi w sprawach zupełnie nie związanych ze sprawami zawodowymi, politycznymi... Otóż, moim zdaniem, wcale nie wyglądają, bo ich po prostu nie ma.

Chodzi o to, że tak naprawdę nie mamy ani czasu, ani warunków, żeby zająć się czymś bezinteresownie. Każdy spieszy do domu, bo musi jeszcze gdzieś dorobić po godzinach podstawowej pracy, stoi w kolejce, żeby kupić coś porządniejszego na przyjęcie gości. Ale na dobrą (czy raczej może na złą sprawę) skończył się także czas zabaw, przyjęć, uczt i nawet zwykłych spotkań towarzyskich. Ludzie zamknęli się w swoich domach, i chodzą nie tylko o to, że nie ma już o czym rozmawiać, bo temat dyżurny od kilku lat nie ulega zmianie...

Jak można mówić o odnowie moralnej w sytuacji, gdy problemem numer jeden każdej młodej rodziny jest mieszkanie. Ludzie wstępują w związki małżeńskie licząc na mieszkanie, wierząc, że w ten sposób otrzymają jedną kategorię więcej, mają dzieci — znów wierząc w tę jedną kategorię. A w oczekiwaniu na M — zaczyna się wspólne życie z kimś jeszcze. Z rodzicami, teściami, w wynajętych pokojach... Czy ktoś policzył, ile małżeństw rozpada się, a źródłem rozkładu pożyłka są nieporozumienia z tym kimś jeszcze? Tu zaczyna się ucieczka od codzienności w alkohol, w ramiona kogoś jeszcze... Są sytuacje odwrotne: ludzie rozwodzą się chcąc zatrzymać mieszkanie. Kłamią, kombinują, oszukują siebie, organy państwowe, spółdzielnie mieszkaniowe, a najczęściej tylko dlatego, że bezduszne przepisy prawa nie dopuszczają do takich a nie innych konfiguracji prawa własności.

Moralności nie można traktować podzielnie. Osobna moralność dla podmiotów stanowiących prawo i osobna dla podmiotów korzystających z aktów prawnych, ustanowionych z pogwałceniem tejże. Nie można jednej moralności reaktywować, drugiej postawić nagrobek. A jeśli nawet komus przyszedł do głowy taki pomysł, to jest on po prostu — niemoralny.

Czy może „zaistnieć” odnowa moralna w społeczeństwie, w którym nie istnieje pojęcie „pewność, stałość” prawa? w którym akty prawne, nawet najwyższej rangi, ulegają zmianie niemalże z dnia na dzień, a znając kulisy opracowywania projektów niektórych aktów można powiedzieć z nocy na noc?, w którym akt prawny rangi ustawy jest derogowany przez rozporządzenie czy zarządzenie ministra, a niekiedy (sic!) przez prawo powielaczowe?

To nieprawda, że moralność łączy się z pojęciem bezinteresowności, że za moralne postępowanie nie należy oczekiwać niczego w zamian. W zamian za takie postępowanie oczekuje się szacunku. Dopóki wszelkie pozytywne działania spotykają się z kpina, ironią i lekceważeniem, a więc dopóki nie ulegnie zmianie struktura ocen moralnych — nie ma mowy o odnowie.

BARBARA KEMPA

## „MANEWRY NA SZYNACH”

Mocno zbulwersował mnie list kolejarzy węża Tomaszów Mazowiecki, którzy zamiast wyjaśnić nurtujące nas problemy próbowali pomówić autorkę artykułu pt. „Manewry na szynach”, red. Jolantę Wrońską o szkalowanie dobrego imienia pracowników PKP. Według autorów listu na kolei panuje tak bardzo sielankowa atmosfera, że o jej działalności należy pisać tylko w samych superlatywach. Jak jest istotnie wskazuje samo życie.

Nie korzystam zbyt często z usług PKP, robię to kiedy muszę i zawsze tak się składało, że miałem zastrzeżenia do pracy tej instytucji. A może miałem tylko wyraźnego pecha? Przytoczę więc przykłady.

Swego czasu wracałem z zimowiska organizowanego w okolicach Kłodzka jego uczestnicy z hufca Łódź-Sródmieście im. Juliana Tuwima. Mimo wcześniejszego zaplanowania tego przejazdu podstawiono im wagony z powybijanymi szybami, przez które podczas wielogodzinnej drogi wdzierały się płaty śniegu. Wynikiem tego była choroba kilkorga dzieci. Interwencje harcerskie w „republice kolejarzkiej” działającej na terenie PRL nie daly żadnych rezultatów, nawet w formie jednego słowa — „przepraszamy”.

Kilka lat temu udałem się na delegację do Zakładów Lniarskich w Żyrardowie. Miałem jechać pociągiem z Łodzi Fabrycznej. Pech chciał, że owego dnia nastąpił wypadek kolejowy w okolicach Rogowa i w związku z tym pociąg dojeżdżał do stacji kolejowej Pływie, a stamtąd pasażerowie mieli być dowiezieni autobusami PKS do Skierniewic. Wszystko było w porządku, autobus podstawiono, ale oprócz pasażerów wsiadli do nich podpici kolejarze, którzy kazali obwozić się po różnych wioskach, miejscach swojego zamieszkania. W wyniku tego do Skierniewic dostaliśmy się dopiero po trzech godzinach takiej „przymusowej wędrówki”. Tylko dzięki uprzejmości dyżurnego ruchu w Skierniewicach, który zatrzymał pociąg pośpieszny jadący z Bogatyni do Warszawy, polecając maszyniście zatrzymać się w Żyrardowie, mogłem zdążyć na czas i pozatławić sprawy służbowe. Była to jedyna sprawa która została załatwiona na PKP po ludzku i ze zrozumieniem.

W 1985 roku wracałem z objazdu obozów harcerskich na Mazurach. Musiałem wówczas skorzystać z pociągu pośpiesznego na trasie Warszawa — Łódź Fabryczna. Pociąg odjechał o przewidzianej w rozkładzie jazdy godzinie, ale wkrótce stanął w polu. Po godzinie takiego czekania zapytałem przechodzącego konduktora o przyczynę postoju, ale ten odpowiedział grubiańsko: — Jak się komuś nie podoba, to wolna droga, niech pan idzie piechotą. Ponieważ działo się to w przeddzień 22 Lipca dowcipnie warszawscy oświadczyli, że kolejarze malują szyny i musimy poczekać aż farba wyschnie.

Aby nie być poświadczonym o stronnictwie muszę dodać, że znane mi są trudności z jakim boryka się PKP. Swego czasu jeden z bardzo mądrych ludzi stwierdził, że kolej to przeżytek i powinna być zastąpiona przez transport i przewozy pasażerów za pomocą PKS. Późniejsze trudności z benzyną pokazały, że nie miał racji, że nie przewidywał dalekowzrocznie piętrzących się wokół paliwa trudności.

I wśród kolejarzy są ludzie ofiarni i społecznie wyrobieni. Kiedy odwiedzałem osadę Andrzejów koło Łodzi z zadowoleniem stwierdzam czystość panującą na tej małej stacji kolejowej, która właśnie za tak bardzo zadbane torowiska i tereny wokół stacji uzyskiwała przez wiele lat tytuł najbardziej zadbanej stacji kolejowej w węźle łódzkim. A tego nie zawsze można powiedzieć o stacji kolejowej w Tomaszowie Mazowieckim. Mam w pracy koleżankę, która odwiedza swoją rodzinę w Tomaszowie Mazowieckim i wydaje często swoje opinie o porządkach tam panujących.

MIECZYSLAW KOZAK

P.S. Przypomniała mi się scena ze sztuki Włodzimierza Majakowskiego „Łaźnia” w czasie której dyrektor urażony w swojej „dumie” woła gromkim głosem:

— Podstawowa Organizacja, Związki Zawodowe, organizacja młodzieżowa, Liga Kobiet — do mnie!

I tyle miałbym do powiedzenia.

## SPROSTOWANIE

Z ubolewaniem muszę się przyznać, że w art. „Pokłon Terpsychorze” w nr 19 „Ogłosów” z 10 maja 1986 r. popełniłem przez przeoczenie błędy w kilku nazwiskach bądź imionach tancerzy, które powinny brzmieć: D. Mareille, Witold Gruca, Judy Holme, Malwina Poleszak, Krzysztof Pabjańczyk.

Ponadto przy nazwisku Ewy Kwiatkowskiej zamiast skrótu: „scen.” pojawił się skrót: „chor.”, mimo iż nieco wyżej napisano wyraźnie „o nowym rock-balecie Ewy Wychłowskiej”. Oczywiście, pani Ewa Kwiatkowska jest i to znakomitym, scenografem, choć może wywyższył ją drugi zawód.

Nie zmniejsza wcale mojej winy, że w wymienionym sprawozdaniu poprawiłem trzykrotnie błąd językowy z teatralnego programu w niemieckiej nazwie teatru miejskiego (Stadtheater) względnie opery miejskiej (Stadtoper), gdzie figurowała błędnie literka „s”.

Wszystkich zainteresowanych za znieszczenie ich nazwiska lub imienia czy też wykonywanej funkcji ze skrucha przepaszam.

JERZY KWIECIŃSKI



Autor poniższych zapisków od szeregu lat prowadzi dziennik, w którym notuje różne wydarzenia — krajowe i zagraniczne, ważne i mniej ważne, co jest oczywiście zależne od jego zainteresowań. W 1983 roku zaczął śledzić rozzuchlaną na Zachodzie kampanię związaną z tzw. śladem bułgarskim, to jest twierdzeniem — jeszcze przed procesem — jakoby za plecami Turka

Ali Agcy, który strzelał do Jana Pawła II, stała Sofia, a za nią oczywiście Moskwa. Sprawa ta od początku wydawała się autorowi podejrzana ze względu na wątpliwe materiały dowodowe, jakimi się posługiwano. Miał nim być zeznanie samego zamachowca, a więc człowieka stronnictwa i nie nie tracącego w przypadku fałszywych zeznań. Ostatecznie

był już skazany na dożywotnie więzienie. Autor miewał też chwile wątpliwości, ale wciąż dręczyła go historyczna analogia procesu rzymskiego i procesu sprzed 52 lat w Lipsku, kiedy to na skutek prowokacji hitlerowców oskarżono również Bułgarów, w tym Georgi Dymitrowa o udział w podpaleniu Reichstagu. Prowokacja lipska spaliła na panewce.

Proces rzymski zakończył się wielką kompromitacją. Dopatrzył się w nim można także wielkiej prowokacji. A oto jak do tego stopniowo dochodziło. Całość autor nazwał w skrócie „afery A-A” od nazwisk Ali Agcy i Antonowa.

17.5.1981 (...) Bogaty w wydarzenia był ubiegły tydzień. Szczególnie zaś dramatyczna środa — 13 maja — kiedy terrorysta turecki Ali Agca dokonał zamachu na życie Jana Pawła II. Zamach się nie udał, ale papież ma przetrzebiony brzuch, zranione ramię i palec. Po czterech dniach wszystko wskazuje na pomyślny przebieg leczenia pooperacyjnego (wycięto część uszkodzonego jelita).

Jeżeli wiadomość z placu św. Piotra wstrząsnęła światem, to wiadomo, jak ją odebrano w Polsce. Radio, telewizja i prasa stanęły na wysokości zadania, a być może nieco przesadziły (np. piątkowy „Głos Robotniczy” — gazeta partyjna — poświęcił całą trzecią kolumnę własnym papieżowi), ale to w obecnym klimacie trzeba usprawiedliwić.

28.5.1981 (...) Dziwny to był miesiąc. Zaczął się podniosłe uroczystościami 1 i 3-majowymi, 7 i 8 miał miejsce incydent otwoki, 13 — zamach na papieża, a 28 zgon Stefana Wyszyńskiego. W sumie okres niepokoju i czegoś niedobrego w klimacie społecznym.

21.6.1981. Wczoraj Jana Pawła II ponownie (po 16 dniach) zabrano do kliniki Gemelli, gdzie przebywał po zamachu. Podobno proces rekonwalescencji uległ zakłóceniu i wystąpiły wahania temperatury.

25.9.1982 (...) Od około 2-3 tygodni „Głos Ameryki” informuje o niezależnych rzekomo dochodzeniach dziennikarzy amerykańskich w sprawie powiązań Ali Agcy, zamachowca na życie papieża, z radzieckim wywiadem. Poza wywiadem niby logicznym, że KGB mógł być zainteresowany w usunięciu Karola Wojtyły za jego powiązania z „Solidarnością” i duchowe nad nią przywództwo, reszta to wątpliwości, z których koroną ma być dwumiesięczny pobyt Ali Agcy w Sofii tuż przed wyjazdem do Rzymu. Wspomina się też o jakimś bułgarskim państwie. Wszystko pozostałe to konstrukcje hipotetyczne. Twierdzi się więc, że wywiad bułgarski, ściśle współpracujący z radzieckim, penetruje Turcję i jest zainteresowany w destabilizacji tego kraju. Ta penetracja ma obejmować zarówno terrorystów lewicy jak i prawicy, właśnie do tej ostatniej należy Agca. A więc jak widać rozumowanie prościutkie. Aż nadto proste...

Sprawa już nabrała takiego rozgłosu, że nastąpiło stanowcze dementi radzieckiej dwukrotnie repliki bułgarskie. Ale i w tym amatorski dochodzeniowiec dopatrzył się różnic, a więc i dodatkowego potwierdzenia hipotez roboczych. Okazało się bowiem, że jeśli wcześniej strona radziecka zaprzeczała obecności Ali Agcy w Sofii, to Bułgarzy ją potwierdzili. A więc sprawa podejrzana! A można przecież wyinterpretować te różnice jako dowód wręcz przeciwny, bo jeśli wywiad radziecki (KGB) — jak się mówi w zagranicznym radio — uknuł z Bułgarami spisek na życie Jana Pawła II, to razem powinni ułożyć stosowny scenariusz kontrnatarcia na hipotezę zachodnią. A tego nie zrobiono. Czy tak postępują służby wywiadowcze?

Symptomatyczne jest w rewelacjach zachodnich konkludowanie, iż być może nigdy nie uda się z całą pewnością przedstawić wszystkich dowodów, ale trop prowadził w kierunku Moskwy.

Jeśli „detektywów” amerykańskich nie zawodzi intuicja, to materialna wartość dowodów przedstawionych (pierwsze opisało je czasopismo „Readers Digest”) jest, jak na razie, żenująco słaba.

To wszystko nie przeszkadza, aby sprawę wzięła na swój warsztat jedna z komisji senatu amerykańskiego, która rozpoczęła już jakieś przesłuchania.

Watykan zachowuje się w tej sprawie dyskretnie, chociaż na użytek programu telewizyjnego (NBC?) jakiś pralut miał oświadczyć, iż jest rzeczą oczywistą, że Agca nie mógł działać sam. Żadna to rewelacja, ponieważ już po ujęciu Agcy i na jego procesie (otrzymał karę dożywotniego więzienia przed sądem włoskim), pisano, że nie działał sam. Teraz wobec nowych enuncjacji, takie oświadczenia są odbierane oczywiście w innym kontekście. Po prostu sugeruje się telewizjom i słuchaczom owych wspólnot jako agentów z Sofii i Moskwy. Zobaczymy co będzie dalej.

28.11.1982 (...) W ubiegłym tygodniu policja włoska aresztowała kierownika filii rzymskiej bułgarskich linii lotniczych niejakiego Sergieja Iwana Antonowa pod zarzutem współudziału w ubiegłorocznym nieudanym zamachu na papieża. Antonow miał rzekomo dostarczyć zamachowców Ali Agcy broni. Bułgaria wystosowała już note protestacyjną, odrzucając zarzuty stawiane Sergiejowi Antonowowi, jako bezzasadne.

Dotychczasowe dowody udziału Bułgarów, a za ich pośrednictwem KGB, w zamachu na życie papieża, nie były przekonujące, czemu już dawno wyrażałem wątpliwości. Włosi posiadają jakieś dowody materialne, to wówczas sprawa nabierze cech dawnego nie widzianego skandalu (...).

6.12.1982 (...) Afera wokół udziału Bułgarów w ubiegłorocznym zamachu na papieża rozwija się. Wczoraj podano, że sędzia śledczy Martella zwrócił się do MSZ o uchylenie immunitetu dyplomatycznego Todoru Aiwazowa, który był (jest?) kasjerem ambasady bułgarskiej w Rzymie. Aiwazow podobnie jak Antonow i Wasiliew (także pracownik ambasady; nakaz jego aresztowania wydano 2-3 dni przed doniesieniem o Aiwazowie) są oskarżeni o pomoc Ali Agcy w zamachu. Antonow miał czekać na Agcę w złotym fiacie 13 maja 1981. aby go wywieźć i ukryć tuż po dokonaniu zamachu.

W bezpośredniej akcji miał też uczestniczyć

inny Turek, który strzelał w powietrze dla spowodowania większej paniki na placu św. Piotra i w ten sposób umożliwić Agcy ucieczkę. W Szwajcarii kilka tygodni temu aresztowano i przekazano Włochom Turka nazwiskiem Bagel, który miał nabyć dla Agcy broń. Niejasne jest, czy to on strzelał w powietrze 13 maja 1981 roku.

Sędzia śledczy twierdzi, iż ma niepodważalne dowody udziału Bułgarów w zamachu i wykluczył możliwość wymiany Antonowa z dwóch turystów włoskich, których aresztowano w Bułgarii jako podejrzanych o szpiegostwo. Informacje o możliwości takiej wymiany pojawiły się w prasie zachodniej.

Ze strony bułgarskiej odrzuca się oskarżenia pod adresem Antonowa. Dziś „Głos Ameryki” podał, że Bułgarzy dysponują zeznaniami (dowodami?) świadczącymi, iż Antonow w czasie zamachu na papieża był w miejscu pracy. Bułgarzy upatrują w całej sprawie prowokację, i stwierdzają, że marksizm-leninizm odrzuca metody terrorystyczne.

EDMUND TULKÓ

## Afera A-A czyli historia wielkiej kompromitacji (1)

19.12.1982 (...) Rozwija się afera wokół rzekomego udziału Bułgarów w zamachu na życie papieża. Bułgarzy odpięli ręką zarzuty. Doszło do wzajemnego odwołania — na konsultację — ambasadorów z Sofii i Rzymu. Tydzień temu, w Sofii, oznajmiono o aresztowaniu jednego z poszukiwanych przez Włochy Turków, niejakiego Bekira Celenka i Bułgarzy zaprosili włoskiego sędziego śledczego Martellę do przyjazdu w celu przeprowadzenia przesłuchań. Zatrzymano też dwóch innych Turków (...)

Sprawa nie jest jednoznaczna. Pomówienia Bułgarów nie zostały oficjalnie potwierdzone przez władze włoskie i właściwie wszystko pochodzi z przecieków prasowych.

Ponieważ propaganda zachodnia twierdzi, że za Bułgarami musiał stać ZSRR, tzn. KGB (pod szefostwem obecnego sekretarza generalnego KPZR Jurija Andropowa), dziś w „Prawdzie” ukazał się artykuł odrzucający te podejrzenia.

21.12.1982 (...) Afera bułgarsko-włoska nabiera rozpędu. Okoliczności spisku na życie papieża i udział w nim Bułgarów stały się przedmiotem debaty parlamentarnej w Rzymie. Po raz pierwszy członkowie rządu mówili o udziale Bułgarów, niejaką przesadzając ostateczne wyniki dochodzeń śledczych. Najdalej posunął się minister obrony Lelio Lagorio oznajmiając, iż zamach na Jana Pawła II był rozważną (?) alternatywą interwencji zbrojnej w Polsce (a zatem Lagorio pośrednio wskazuje także na udział ZSRR), ponieważ śmierć papieża pozwoliłaby zdławić polski ruch opozycyjny. Lagorio miał też powiedzieć, iż po zamachu zaobserwowano wzmożoną wymianę zakodowanych depesz ambasady bułgarskiej z Sofią. Co więcej, taki sam intensywny „ruch” tych depesz stwierdzono w czasie porwania przez „Czerwone Brygady” amerykańskiego generała Jamesa Doziera.

Na tymże posiedzeniu parlamentu wystąpił też minister spraw zagranicznych Emilio Colombo, który zapowiedział zaostreżenie polityki wizowej wobec Bułgarów, a także oznajmił, że analizuje się, czy personel ambasady bułgarskiej, w Rzymie nie jest zbyt liczny.

Te dwa wystąpienia ministrów nadają już sprawie wymiar inny niż doniesienia prasowe oparte na przeciekach. Wobec tego mnożą się rewelacje prasy zachodniej i obraz w tej chwili jest mniej więcej taki:

— Bułgarzy (ściślej wywiad bułgarski) za pośrednictwem prawników terrorystów tureckich zmontowali spisek na życie papieża obliczony Ali Agcy 3 miliony marek zachodniomiejskich.

— Bułgarzy nawiązali kontakt z „Czerwonymi Brygadami” po uprowadzeniu gen. Jamesa Doziera;

— Bułgarzy prowadzili (prowadzą?) na terenie Włoch działalność szpiegowską, czego mają dowódzić zeznania zwłazkowca niejakiego Scricciolo (m.in. miano im przekazać informacje o „Solidarności” a dwóch Bułgarów znajduje się z tego powodu na liście poszukiwanych przez policję włoską);

— Bułgarzy zorganizowali na szeroką skalę przemyt do Europy Zachodniej narkotyków i broni.

Oczywiście, Bułgarzy, zdaniem komentatorów zachodnich, są tylko wykonawcami, bo wiadomo, że za nimi stoi KGB.

Jedną z gazet doniosła nawet, że rozważano (oczywiście też Bułgarzy) możliwość zamachu na Lecha Wałęsę w czasie jego podróży do Włoch (na początku 1981 r.).

Trudno powiedzieć, ile jest w tym wszystkim historii a ile wiarygodnych faktów. Ile wresz-

cie świadomie robionego szumu propagandowego. W każdym bądź razie sprawa Polski wróciła na czołówek prasowych doniesień.

Bettino Craxi, przywódca socjalistów domaga się, ze względów wyborczych, zerwania stosunków dyplomatycznych z Bułgarią, a min. Colombo powiada (12 grudnia 1982 r.), że MSZ będzie się kierowało orzeczeniami sądu. To ostatnie „Głos Ameryki” przemilczał. Tak samo milczy, gdy wezwany z Sofii do Rzymu ambasador Carlo Rossi Arnaud oświadczył łagodząco, iż w Bułgarii nie ma w zasadzie kampanii antywłoskiej.

Przykładem hysterii jest za to artykuł w „La Repubblica” (12 bm.), gdzie znalazł się taki pasus: „(...) jeśli wszystko to okaże się prawdą (tzn. wszystkie grzechy zarzucane Bułgarom — przyp. mój) (...) to wówczas stanęlibyśmy w obliczu sytuacji, przy której zblądziłby historyczny precedens Sarajewa”. Po czym „Repubblica” rozważa konsekwencje zerwania stosunków z Bułgarią, a więc zerwanie z Moskwą, brak poparcia Europy Zachodniej, a na koniec brak po-

parcia Watykanu, który prowadzi „cierpliwą politykę porozumienia w Polsce”. Na tym historycznym podłożu wybuchła też niedawno afera wokół wizyty Shultza u papieża. Jedną z mniej znanych amerykańskich stacji doniosła jakoby papież oświadczył, iż uważa, że za zamachem na jego życie dokonany 13 maja 1981 roku „stała (chyba stał) KGB”. Ta „rewelacja” została stanowczo zdementowana przez dwa miarodajne źródła watykańskie (jednym był rzecznik ks. Pancirolli), a i sam Shultz od niej się odzegał. I o tym też nie wspominał „Głos Ameryki”.

Jednym z argumentów świadczących o „racjonalnych” przesłankach planowanego zamachu na papieża jest twierdzenie, jakoby papież w owym czasie (tzn. w pierwszych miesiącach 1981) często zabierał głos w sprawach polskich. Powiedzmy, że argument ten jest uzasadniony, ale reszta wywodu całkiem irracjonalna. Bo na jakiej podstawie wyciągnięto wniosek, iż śmierć papieża ułatwiłaby tzw. pacyfikację Polski?

Należy też uczynić jedno spostrzeżenie: czy przypadkiem Amerykanie nie odczuwają tzw. Schadenfreude, zważywszy ujawnione i ujawniane ciałe działania CIA (np. plan obalenia Allende, próby zamachu na życie Castro i in.)?

I jeszcze jedno. Czy ta cała afera pozostanie bez wpływu na plan wizyty Jana Pawła II w czerwcu 1983 w Polsce?

8.1.1983 (...) „Afera Antonowa” zapowiada się na wielki niewypał. Rozbustna do niebывалых rozmiarów, ostatnio „spadła” z dzienników „Głosu Ameryki”. Jeszcze próbuje się ją galwanizować w audycjach nadawanych po dzień-nikach, ale już z wyraźnym postawieniem sobie furtki odwrotu. Wczoraj np. (po dzienniku) podano fragmenty rozmowy z anonimowym o-rony, który po oświadczeniu o dużym prawdopodobieństwie spisku KGB na życie papieża, powiedział w pewnym momencie, iż być może nigdy nie da się tego... udowodnić. A więc chwył prościutki: Rosjanie byli zainteresowani usunięciem Jana Pawła II, więc oni musieli stać za kulism zamachu z 13 maja 1981, oczywiście zamachu wykonanego przez Turków z podusz-zenia Bułgarów, bo KGB to przebiegła centrala szpiegowska (...).

Apogeuem propagandowe osiągnięto w „Głosie Ameryki”, kiedy to dwa dni pod rząd nadawano rozmowę z jakimś profesorem (nazwiska nie zapamiętałem) z uniwersytetu w Georgetown. Otóż ów profesor z niezwykłą pewnością siebie zdecydowanie obwiniał KGB, a koronnym „dowodem” miał być taki mniej więcej wywód:

Papież jest w Polsce niekwestionowanym najwyższym autorytetem politycznym i moralnym. Patronował on przemianom posierpniowym, a zatem jego usunięcie rozwiązałoby dla ZSRR palący problem polski. Wniosek? Tylko ZSRR mógł zorganizować zamach.

Pomocniczym argumentem profesora z Georgetown był rzekomy list papieża do Leonida Breżniewa wystosowany w grudniu 1980, gdy zachodnie źródła donosiły o koncentracji radzieckich wojsk na granicach z Polską. W liście tym Jan Paweł II miał zapowiedzieć, iż w przypadku inwazji radzieckiej, opuści stolicę św. Piotra, wróci do kraju i stanie na czele ruchu oporu narodu polskiego. Zdaniem profesora list papieża miał zadecydować w powzięciu przez Leonida Breżniewa decyzji odwołującej interwencję, ponieważ uzmysłowił mu skalę trudności międzynarodowych, reakcję opinii publicznej w przypadku wkroczenia wojsk radzieckich.

Profesor zaklinał się, że fakt wystania tego listu nie podlega dyskusji, gdyż sprawę badały poważne dzienniki włoskie (które?), a sam Watykan nie demuntuje tego faktu (który rzecznik Watykanu?).

Pomijając hipotetyczne domysły o przestawieniu się Leonida Breżniewa trzeba przypomnieć, iż rzeczywiście w grudniu 1980 roku miały miejsce jakieś kontakty Watykanu z oficjalnymi przedstawicielami ZSRR. Tak przynajmniej pisało w tym okresie na Zachodzie (np. informacje nieoficjalne o spotkaniach Casariego z Zagladinem) i nawet pojawiły się sensacyjne doniesienia o zawartym pomoć układzie Watykan — ZSRR w kwestii polskiej. ZSRR miał wstrzymać się od interwencji, a Kościół miał pohamować „Solidarność”.

Te bajeczne opowieści, to w „afery Antonowa” sprawą trzeciorzędną. Przecież można też powiedzieć, że nie tylko papieża nie lubi się na Kremlu, a reperkusje w Polsce na zabójstwo papieża mogłyby sytuację nie tylko nie złagodzić lecz zaostrzyć. No, ale w „uczonych” roztrząsaniach profesora z Georgetown jest inaczej.

We Włoszech w antybułgarskiej hysterii najdalej poszedł przywódca socjaldemokratów — Longo, który podczas sesji parlamentu na Bułgarów przerzucił całą winę za nieszczęścia, jakie przeżywają Włochy. Wtórowały mu sensacyjne doniesienia gazet włoskich o powiązaniach Bułgarów już nie tylko z „Czerwonymi Brygadami” (sugestia o maczaniu palców w zabójstwie Aldo Moro), ale także z mafią sycylijską, a nawet współudział w ostatnio nieprzyjemnej dla Watykanu aferze Banco Ambrosiano. To oczywiście — znów — Bułgarzy zamordowali w Londynie prezesa tego banku Roberto Calvi, aby afera wyszła na pełne światło dzienne i skompromitowała Watykan, a zatem i papieża.

Wkrótce potem przyszło otrzeźwienie i nie-które dzienniki włoskie zaczęły ostrzegać przed antybułgarską histerią. Było to zrozumiałe, ponieważ poza „przeciekami” wciąż brakowało niekwestionowanych dowodów dla poparcia zarzutów wysuwanych wobec Antonowa, Aiwazowa, Wasiliewa oraz żony Antonowa, Rosicy. Zdjęcie, mające być koronnym dowodem obecności Antonowa na placu św. Piotra z 13 maja 1981 okazało się fałszywką, o czym wstydliwie poinformowano w kilkunastu godzinach na dalszych kolumnach, podczas gdy zdjęcie-fałszykat drukowano na czołówkach pierwszych stron.

Adwokat włoscy broniący Antonowa twierdzą, iż znaleźli dla niego alibi na krytyczne dni 11-13 maja 1981 i wystąpili z wnioskiem o zwolnienie go z aresztu.

I co charakterystyczne. Otóż, gdy kilka dni temu sędzia śledczy Martella udawał się do RFN, aby tam przesłuchać jednego z zatrzymanych Turków (Celebi), „Głos Ameryki” donosił, że chodzi tu o człowieka ultraprawicowej organizacji tureckiej „Szarych Wilków” i nie dawał ani słowa o powiązaniach z Bułgarami, chociaż wcześniej sugerowano, że „Szare Wilki” z nimi są powiązane. Ów Celebi miał rzekomo na Majorce dawać Ali Agcy pieniądze na przygotowanie zamachu na papieża.

Na razie więc jednym, jak się wydaje, dowodem posiadanym przez sędziego Martellę są zeznania Agcy, a to o wiele za mało. Zresztą Bułgarzy przytaczają ze swej strony tyle kontrargumentów, że trudno je odeprzeć. Na przykład Ali Agca miał zawieźć policję do mieszkanca Antonowa, lecz przecież nie znał Rzymu i nie zna języka włoskiego! Ponadto z Agca rozmawiali w więzieniu agenci służb specjalnych, co jest podobno niezgodne z włoskim prawem (mogli mu zaproponować taki scenariusz zeznań w zamian za obietnicę amnestii). Ten laikuszek poszłał i kontrposzłał można ciągnąć bardzo długo.

Nasuwa się refleksja natury ogólniejszej. Otóż, na Zachodzie nie brakuje, podobnie jak u nas, ludzi gotowych uwierzyć, że wydarzenia są wyłącznie dziełem ciemnych sił zewnętrznych. To mafianie spojrzeń na historię i rzeczywistość jest zławiskiem zdumiewającym. Taki np. Longo, o którym już wspominałem, zważając na Bułgarów odpowiedzialnych za kryzysową sytuację we Włoszech, nie dostrzega swojej śmieszności. Nie dostrzega tego, że kreuje małą Bułgarię na demoniczne mocarstwo działające jako wykonawca poleceń KGB, ale mimo to zdolne wstrząsnąć wielokrotnie silniejszymi Włochami, ba — jakby chcieli niekiedy amatorzy sensacji — całą Europą Zachodnią.

Prawda, że już ktoś dostrzegł tę śmieszność i w jednej z audycji „Głosu Ameryki” słyszałem, że KGB wśród agentów wywiadu bułgarskiego ma swoich pewnych ludzi, którzy działają tylko na rozkaz Moskwy i autor tej audycji nie wykluczył, iż Bułgarzy mogli o zamachu na papieża nie mieć... wiedzy.

Wszystko to jako żywo przypomina bredzenie u nas niektórych osobników (...) o masonerii. Bardzo mądre też feralne załatwił Kazimierz Barcikowski w wywiadzie z Anną Pawlowską dla „Trybuny Ludu” (numer noworoczny). Oto cytat:

„(...) możliwe są dwa podejścia: założenie, że przeciwnik nam przeszkadza, uniemożliwia (tę), lub że to my przeciwnikowi ułatwiamy, umożliwiamy. Oczywiście trochę żartuję, ale tylko trochę. Przeciwnik naprawdę czeka i musi czekać na nasze niepowodzenie, na nasz fałszywy krok w gospodarce, w życiu politycznym, w stosunkach między władzą i społeczeństwem, w propagandzie”.

Nie sądzę, aby ta wypowiedź przypadła wszystkim do gustu.

C.D.N.



zaro. Nikt nie splewa tu przez megafony, ludzi prawie nie ma, a do Tuxla Gutierrez, któreby biegnie droga dalej, na Yukatan, trzeba jechać ponad czterdzieści godzin linia „Cristobal Colon” i jeszcze mówi się o częstych napadach i że można złapać jakiegoś lamblę i po kilku latach umrzeć.

Bez wątpienia najwygodniej byłoby wrócić do punktu wyjścia, w kierunku Meksyku odchodził najwięcej autobusów — za dwie godziny można być z powrotem w domu, zastać wszystko na swoim miejscu, w wygodnym fotelu bez trudu znajdować usprawiedliwienia, oglądać zdjęcia, marzyć — może kiedyś polecimy tam samolotem. Po co przeżywać ten kleisty, nocny upał, którego nie łagodzi nawet otwarte okno, oglądać pływające po poczekalniach w małych miasteczkach fekalia, dzieci śpiące w zagadkowych pozach pod niemilosierdnymi świecącymi jarzeniówkami, po co chować w bucie resztki pesos...?

Jak to po co?!

## ŻEBY ZOBACZYĆ YUKATAN!

Żeby to wszystko, o czym tyle się słyszało i czytało, i oglądało tyle zdjęć — Mérida, Chichén — Itzá, Uxmal — ujrzed wreszcie na własne oczy, przekonać się, że to nie mity, ale naprawdę istniejąca rzeczywistość.

Krajobraz się zmienia. Nie ma wreszcie przepaści po obu stronach szosy, kierowca nie musi używać co chwila dodatkowego hamulca, za oknami nie widać ścian z przyklejoną wstążką asfaltu, po której — choć wydaje się to niemożliwe — za kilkanaście minut autobus będzie pędził z karkołomną szybkością. Została tylko ta karkołomna szybkość, cała reszta jest inna; równo jak po stole, wilgotno, piórpusze palm...

Mérida zwłaszcza po dwu nocach spędzonych w autobusie, mimo że niby jest zima i wczesny rano, wita nieodmiennie gorącym podmuchem. Nie pomaga nawet wszechobecna tu biel. Gdyby ściany domów pomalować na czarno zrobiłoby się po prostu centrum piekła, a tak można się pocieszać, że to zaledwie przedświadek Upału jednak w najmniejszym stopniu nie wpływa na panujące w mieście ożywienie; ruch — jest tu znacznie większy niż w dowolnym polskim mieście w czasie najbardziej upalnego lata. A na czołach Meksykanów nie ma ani kropli potu.

Tylko dla obcego nawet krótki spacer wymaga sporego samoparcia, tym bardziej, że przez dłuższy czas nie zanosi się na żadną nagrodę: Mérida, założona w roku 1542 na ruinach wielkiego miasta Majów T'ho przez Francisko de Montejo Młodsze jako miasto „szlachetne i lojalne”, jest nieoczekiwanie zwykła — sklepy z amerykańskimi towarami, banki, restauracje.

Nagroda czeka dopiero na Zócalo, olbrzymim, cieniistym, stale polewanym wodą i otoczonym, oczywiście białymi, azurowymi budowlami: Domem Męczichów, Pałacem Gubernatora. I katedrą, olbrzymią, prawie zupełnie pozbawioną ozdób, ze skulonymi, ciemnymi postaciami, niemal bez wagi, w nagich, surowych nawach i gazonami nie dających ciepła światła świec, jeszcze wentylatorami umieszczonymi wszędzie tam, gdzie tylko było to możliwe.

Stojąc tu można bez trudności cofnąć się do czasów konkwisty, „do początku placenia danin, początku powinności kościelnych, początku walki ze strzelcami, początku walki z deptaniem człowieka, początku rozbójnictwa i gwałtu, początku długów i fałszywych świadectw, początku walki indywidualnej, początku udręki” — jak zapisano w indyjskiej księdze Chilam Balam.

Znacznie trudniej, rozglądając się po największym w tej części świata, otoczonym wspaniałymi krągami dziedziczą klasztoru franciszkanów z Izamal (prawie przy drodze do Chichén — Itzá) — kwintesencją pogodnego spokoju, wyobrazić sobie, że w czasach konkwisty znajdowała się tu siedziba najbardziej chętna okrutnego inkwizytora Majów Diego de Landy, tego samego, który w stolicy potężnej dynastii Tutul Xiu, Mani, — dziś małym miasteczkiem także z klasztorem franciszkanów, tylko daleko bardziej niepozornym — kazał spalić bezcenną bibliotekę Indian, gdyż według niego, zgromadzone tam księgi „zawierały tylko przesady i kłamstwa szatańskie”. Pomnikowe dzieło samego Landy, „Relación de las cosas de Yucatán”, choć o ogromnym znaczeniu, nie było w stanie zapieczętować uczynionej przez swojego autora luk, dzięki niemu jednak Landy, którego jedynym celem było łepienie tradycji Majów stał się jednocześnie pierwszym wybitnym specjalistą w tej dziedzinie.

A w nocy, w pokoiku taniego hotelu „Alamo” (doba — 3 dolary), z wymalowanymi na olejno ścianami, pełną wiosną atrapa łazienki i monotonna chłodem łóżka wentylatora pod sufitem (bez którego nie można by wytrzymać, ale z którym też niełatwo współżyć) trzeba też oddać sprawiedliwość Hiszpanom; byli bezwzględni, opanowani niemal wyłącznie żądzą złota i zaszczepili, ale i — jak pisał William Prescott — także „ogarnięci najwyższym entuzjazmem”, bez niego nie zdołaliby pokonać tak wielu przeszkód, nie mówiąc już o tym, że na wiele lat przed przybyciem do brzegów Yucatanu ekspedycji Hernandesa de Córdoba królestwo Majów pogrążyło się w wojnie i zamieszku. Hiszpanie w łstocie dopełnili tylko losu, który sami Indianie przygotowali — zawsze przecież ktoś taki musi się znaleźć.

Dalsza trasa biegnie

## NAD BRZEGIEM ZATOKI MEKSYKAŃSKIEJ

Przez Villahermosa de Veracruz. Okazuje się, że nawet godzinę między dwoma autobusami można wykorzystać z pożytkiem. Na dworcu w Villahermosa i w jego najbliższych okolicach trwa pogłówna lekcja na temat: „Jak finansejnie okrążyć natłoku turystę?” Profesorem są dwaj Meksykanie, którym jako model służy młody, samotny, (to ważne) biały mężczyzna z torbą podróżną.

Mężczyzna stoi przed tablicą informacyjną i studiując godziny odjazdów autobusów. Pierwszy profesor — niski, przyzwyczajony ubrany, ze szczekającą inkrustowaną złotymi zębami — zbliża się do niego i nawiązuje przyjacielską pogawędkę, po czym upuszcza na posadzkę małe zawiniątko. Po chwili rozgląda się dookoła, podnosi zawiniątko i pokazuje je mężczyźnie; widak wyraźnie, że w środku są banknoty o dużym nominale. Złotożębny tłumaczy, że ktoś musiał je zgubić.

I tu następuje moment kluczowy — jak zareaguje turysta? Może okaże się uczciwy i poradzi pieniądze oddać, może w ogóle go to nie zainteresuje...

Mija kilka sekund, zanim mężczyzna z torbą lynie haczyk. Teraz już wszystko jest w porządku: zawiniątko znaleźli — we dwóch, i pieniądze nie ma co oddawać, tym bardziej, że nie wiadomo komu, a jak się zaniesie obłudzie dworca, to wyjdzie na to że przywłaszczył je sobie ktoś inny. Krótko mówiąc: pieniądze należy zatrzymać i sprawdzić, czy nim podzielić — obaj wychodzą z dworca i skręcają w odludną uliczkę...

Teraz do akcji wkracza drugi profesor — starszy, ubrany bardziej kamerownie. Wychodzi z szczęśliwymi znalazcami i twierdzi, że ktoś widział jak podnieśli zawiniątko, wobec czego prosi o jego zwrot. Zachowuje się jak przystało na człowieka, który ponosi dotkliwą stratę: jest zmartwiony, ale zdeterminowany.

Pierwszy profesor wyraża zdumienie i turysta, też, tracąc w ten sposób swoją ostatnią szansę. Drugi profesor bowiem nie wierzy na słowo i chce obszukać obywateli delikwentów. Na pierwszy, dość pobieżnie, zabiera się do kolegi po fachu, który cały czas trzyma zawiniątko pod pachą, a potem do pogrążonego w poczuću winy i jednocześnie uradowanego, że to nie on ma pieniądze — turysty, który w tej sytuacji naturalnie nie protestuje. Tym razem rewizja jest dokładna: torba, kieszenie... A kiedy dobiega końca złotożębny ni stąd ni zowąd wypada spod pachy zawiniątko. A wszystko już układało się tak dobrze... Wobec takiego zbiegu okoliczności delikwentowi nie pozostało nic innego, jak rzucić się do ucieczki — pierwszy profesor znika w ten sposób z klasy.



## Miasta i wulkany

Drugi natomiast podnosi zgubę i energicznie potrząsając osamotnionym mężczyzną ze złej już torbą (choć jej właściciel, zajęty tłumaczeniem, że o niczym nie wiedział, nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy) pozwala mu wspaniałomyślnie uciec. Kto nie skorzystałby skwapliwie z takiej szansy?

Dopiero po minucie turysta wraca. Zorientował się widać, że z kieszeni zniknęły mu wszystkie pieniądze a z torby kilka wartościowych przedmiotów. Ale profesorowie są już nieuchwytni; oddają się zastutnionemu wypoczynkowi w jakimś pokoju nauczycielskim.

A tymczasem z autobusu po raz pierwszy

## WIDĄC OCEAN

Nie wiadomo już czy lepiej podróżować po Meksyku w nocy, czy w dzień. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że w dzień, choćby dlatego, że przez okno można oglądać to, co się akurat mija. Ale z tym właśnie jest największy kłopot. Według odkrytej już przez Prousta zasady, że podróżny zakochuje się bez pamięci we wszystkich drożniczkach, każde mijane miasteczko wywołuje nieodpartą chęć zostania w nim przez całe życie. Tym bardziej, że kto wie, czy wiele z nich nie jest piękniejszych od niejednej drożniczki, a do tego jeszcze od Zatoki wieje wiatr wprowadzając na ulice ożywienie, rozmarzając kolory, tworząc z pierwszego lepszego zautka obraz de Staëla...

Pagórkowate Catemaco, białe Alvarado z masztami łodzi i cementarzem jak panna młoda — właśnie one pozostają najdłużej w pamięci, za nimi będzie się tęsknić, choć przecież nawet nie dotknęło się ich stopa — a może właśnie dlatego.

Kiedy autobus wyjeżdża z Catemaco przed jedną z biednie wyglądających chat siedzi mężczyzna w sombrero. Z zadrzaskiem patrzy na pasażerów, szczególnie tych, którzy wyglądają na gringos. Być może nigdy stąd nie wyjeżdżał i nie wyjedzie; dla niego pulman ADO to wielki wiozący w nieznane, ale na pewno lepsze życie. A z drugiej strony, może nieco mniej wyraźnie, ale podobne spojrzenia: mężczyzna w sombrero siedzący przed własnym domem, nawet biednym, też może być marzeniem. Jak zwykle wszyscy tęsknią za tym, czego nie mają...

Do Veracruz autobus dociera o zmierzchu. Dworzec wybudowano obok alei Diaz Mirón: kilka kilometrów drzew, w których świecą latarnie i hałasują płaki, fontanny, stragany w kształcie muszli... Jednym słowem nie można było wymyślić lepszej nazwy: Salvador Diaz de Mirón był wybitnym meksykańskim poetą i krytykiem. Tyle tylko, że upał ciągle taki sam jak na Yucatanie, ale dla tych, których nie znuzi spacer pod ćwierkającym, zielonym baldachimem też czeka nagroda — jak na Zócalo w Méridzie. Tym razem jest to bieżący wzdłuż Zatoki bulwar Malecón: kamienne mola ze starymi łódkami rybackimi, twierdza San de Ulua i orzeźwiający, pełen morskich zapachów powiew — taki sam jak wszędzie, nieważnie Veracruz, San Francisco czy Gdańsk. Przez chwilę można pobyć u siebie, to znaczy we wszystkich miejscach na ziemi równocześnie.

Łódzie Cortez przybyły do ładu meksykańskiego kilkadziesiąt kilometrów na zachód, w małej wiosce La Antigua. Można tu jeszcze oglądać obrzęd, leżącą na ziemi celbę, do której przyćmawiali. Miarą czasu jest cofnięcie się o kilkadziesiąt metrów koryta rzeki i miliony metrów sześciennych ziemi, na której dziś stoją domy i rosną drzewa, a także ruiny pałacu naczelnego konkwistadora — poprzestane korzeniami drzew, popękane, bez dachu; opuszczone na zawsze. W panującym tu zgłębieniu pól-



mroku czas dotyka każdego swoim omszałym palcem — ale nie jest to brutalne szturchnięcie spychające w równącają wszystko, pełną rezygnacji pozorną mądrość, już raczej delikatna napomnienie Octavio Paz: „Nikt nie umiera od śmierci, wszyscy u-mieramy od życia”.

Inny, zachowany do dziś w nienagannym stanie, pałac Cortez stoi obok Zócalo w Cuernavaca. Mieści się w nim muzeum. Nawet zupełnie przyzwolte (dotyczy głównie czasów Rewolucji), ale — jak każde muzeum — chłodne i bezosobowe. Nie dziwnie, że ludzie jak najszybciej wychodzą na obszerny taras i patrzą w kierunku górującej nad miastem piramidy i — jeszcze znacznie dalej — wulkanu Popocatepetl.

W Cuernavaca jest wiele parków, wspaniały klimat (nie bez powodu nazywa się ją miastem wiecznej wiosny), najwięcej na świecie basenów w stosunku do ilości mieszkańców, zapomniany, stojący na uboczu pałac nieszczęśliwego cesarza Maksymiliana z interesującym ogrodem botanicznym i małym muzeum medycyny ludowej. Dla tego wszystkiego warto tu przyjechać, ale dwie rzeczy są jeszcze ważniejsze: fakt, że w Cuernavaca właśnie konsulem był Malcolm Lowry i katedrą.

Od czasów Lowry'ego miasto się rozrosło. Posada de la Selva jest niemal luksusowym hotelem, ale i tak ci, którzy czytali

## „POD WULKANEM”

chodzą tu po ulicach trochę bardziej rozgorączkowani i zamyśleni niż gdzie indziej — jakby za chwilę mieli zobaczyć Konsula, Yvonne, Hugh'a, Laruelle, a za siatką któregoś z ogrodów pana Quinceya i nawet abstynenci muszą wypić tu mezal albo tequila, najlepiej właśnie w Posada de la Selva.

Dobrze jest na chwilę poczuć się kimś wzniosłym i własną bierność przypisać do autentycznej tragedii i wielkości. Jeszcze lepiej po prostu wypić zdrowie wielkiego pisarza, który wziął na siebie tak wiele udręki tzw. współczesnego świata. Oczywiście Lowry musiał też chodzić do katedry, siedzieć w otaczającym ją ogrodzie. Katedra w Cuernavaca przypomina bardziej forteczną niż miejsce modłów. A jeżeli wejść do niej w godzinach, które Francuzi nazywają „między psem i wilkiem”, kiedy przez niewielkie okna wpadają resztki światła z zewnątrz, a w środku pali się tylko wieczna lampka przed tabernaculum... można tylko stać i patrzeć dopóki kościelny nie zacznie zamykać bram. Każde słowo byłoby tu niewłaściwe.

Wprawdzie nudzić się w Cuernavaca jest raczej trudno, ale nie zawadzi wybrać się któregoś dnia choćby do grót Cacahuamilpa, żeby zobaczyć wyrzeźbione przez wodę stalaktyty i stalagmity, sięgające niekiedy kilkudziesięciu metrów i przybierające najdziwniejsze kształty. Każdy egzemplarz ma zresztą swoją nazwę, którą przewodnik surowo narzuca zwiedzającym. W wypadku „butelki szampana” czy pięknych, białych, polyskujących „tronów z baldachimami” wszyscy się od razu zgadzają, ale już kiedy wyraźnego „niezdawanie” mianuje się „słoniem” odzwyczajają się głosy sprzeciwu. To jest „słoni” — przewodnik stanowczo u-cina dyskusję — „idziemy dalej!” A na koniec zachęca aby zobaczyć „usta dwóch rzek”, które mieszczą się trzysta metrów niżej, pod grotami.

## „USTA DWÓCH RZEK”

to dwa olbrzymie tunele wyrzeźbione w litej skale i wypełnione glazami, czasem wielkości kamienicy. Wody w grudniu jest niewiele, nie chce się wierzyć, że to ona dokonała tego wszystkiego, ale podczas pory deszczowej jej poziom sięga kilkudziesięciu metrów; widok musi być jedyny w swoim rodzaju. Teraz jednak też nie ma na co narzekać. Przeskakując z kamienia na kamień można wędrować tunelem aż do zupełnej ciemności, w której słychać tylko szum wody.

Już z powrotem na górze wszyscy zachęcają, żeby zobaczyć Tasco, „Joya colonial” (klejnot kolonialny). To niedaleko. Ale czy po Oaxaca, Méridzie, Izamal, Villahermosa, Veracruz, La Antigua, Cuernavaca, i tych grotach, i tych źródłach, i tylu innych miejscach warto jeszcze oglądać coś, w dodatku o tak banalnym, folderowym przydomku; do Tasco jedzie się na wszelki wypadek.

I raz jeszcze okazuje się, że w Meksyku nie ma zwyczajnych miejsc. Już sama podróż dostarcza rzadkich emocji: rozklekotany autobus, tym razem linii „Flecha Roja” młynie jak opętany nad ponad stumetrową przepaścią — to nie nowe, ale na okrasie tu i ówdzie wyskakują duże napisy „Dość wypadków linii Flecha Roja!” — można się co najmniej spodziewać.

W końcu za którymś zakretem pojawia się miasto. Trudno u-wierzyć, że coś takiego w ogóle może istnieć (ile to już razy miało się podobne uczucie w Meksyku). Seki domów przylepionych do stromych, górskich zboczy, ani metra równego terenu; idąc ulicą w górę trzeba się nieźle namęczyć, a schodząc uważać, żeby nie upaść. Dosłownie zawieszono w powietrzu merca-do, małe kicz Zócalo, bo tylko tyle znalazłono równego placu i kościół Santa Prisca z drewnianą posadzką i siedmioma złotymi ołtarzami przystrojonymi białymi liliami. Żadnej przesady z tym „klejnotem”, który w dodatku składa się z setek mniejszych, prawie każdy dom i kościół wykończony jest w najdrobniejszych szczegółach — tak jak najdrobniejszy przedmiot ze srebra, z którego Tasco słynie. I znów wszędzie ruch — to nie żadne muzeum, ale normalne miasto.

Najgorzej z tym, że ostatni autobus odchodzi za niecałe dwie godziny, nie ma pieniędzy na nocleg... Jak zobaczyć coś takiego jak Tasco w niecałe dwie godziny? Zaczyna się gorączkowa bieganina — jeszcze tylko tu, i tu, i tu — i biegiem z powrotem na wyjątkowo zresztą obscurny dworzec. Tu jednak okazuje się, że minęła dopiero godzina.

Cóż jeszcze zostało? Gdzie można skończyć taką podróż? Jest tylko jedno właściwe miejsce:

## POPOCATEPETL

Od dłuższego czasu był już widoczny, kusil. Teraz, jadąc z Amecameca do schroniska — ILAMACAS — zbudowanego na wysokości ponad trzy i pół tysiąca metrów, wydaje się coraz groźniejszy, wzbudza lęk. Ale potem wszystko ponownie łagodzi. Puchowe kombinizony, raki, czekanki, w które sporo ludzi się zaopatrzyło, robią wrażenie niepotrzebnego szpanu. Na szczyt jest stąd przecież tylko mniej więcej tyle co na Śnieżkę, podejście wygląda niewinnie — zapowiada się miła wycieczka.

I rzeczywiście: na pierwszym idzie nie najgorzej, ale tylko do Trzech Krzyży na wysokości czterech tysięcy sześćset. Tu dopiero można rozpoznać się w skalę; wyglądające ze schroniska na spore wzgórze wzniesienie z urządzeniami radiowymi robi wrażenie śmiesznej babki piaskowej, a potem w ogóle znika pod chmurami, z których wystają tylko Orizaba, Malinche i wznosząca się obok wierna żona Popola Ixcachuatl...

Na ostatnie dziewięćset metrów nikt już nie patrzy bez troski. Brak tlenu utrudnia każdy krok, warstwa lodu pod śniegiem każe z zadrzaskiem patrzeć na raki i czekanki, cuchnie siarka, tu-many mgły wpadają co chwila w zupełną samotność... Te dziewięćset metrów idzie się kilka godzin — im bliżej szczytu, tym wolniej.

Na szczyt Popocatepetl co roku giną setki ludzi, ale codziennie wchodzi nowi, tylko po to, aby stanąć nad kraterem i — nieuchronnie... zejść w dół. Bo przecież nawet Popocatepetl nie jest celem ostatecznym, tak jak nie był nim Yucatan czy Cuernavaca. Celem jest droga. I dlatego najładniejszy z psalmów mówi: „Błogosławieni ci, którzy nie spłamiłi się w drodze”.

## RYSZARD NAKONIECZNY



# Nagroda „Odgłosów” 1985

FOTO: GRZEGORZ GALASIŃSKI

**Sławomir Pietras** — postać, o której coraz więcej mówi się i pisze, a która nieczęsto ukazuje swą twarz. Nie wychodzi na scenę, nie zbiera rzesz braw publiczności, choć oklaski adresowane są także do niego. Zawsze jest gdzieś obok, w cieniu swych gwiazd, którym konsekwentnie zgłasza swoje uwagi. Twórca o szalonych ambicjach sięgających w obszar wydawać by się mogło niedostępny. Twórca o niebywałej energii całkowicie oddanej sztuce. Dyrektor Teatru Wielkiego — sceny świecącej międzynarodowymi triumfami w czasach, kiedy nie kocha się teatru. Animator imprez popularizujących operę i balet, organizator „Łódzkich Warsztatów Operowych”. Oplekum artystów, który zwykł przestrzegać: „Sukces trwa jedną chwilę. Kończy się, gdy milkną brawa i opada kurtyna. A droga do sukcesu trwa wieki”.

**Sławomir Pietras** — laureat nagrody „Odgłosów” za upowszechnianie kultury w roku 1985.

Piątek, 30 maja 1986 roku. Redakcja naszego tygodnika ma zaszczyt w swych progach sfinalizować drugą edycję konkursu — plebiscytu premiowania nagrodą za upowszechnianie kultury. Przed rokiem gratulacje odbierał tutaj Antoni Sram — pierwszy wyróżniony przez „Odgłosy” animator życia kulturalnego, który w swych działaniach daleko wykraczał poza ramy zawodowych obowiązków. Dziś laureatem jest dyrektor Teatru

Wielkiego — **Sławomir Pietras**, wytypowany przez jurorów z grona dwunastu pretendentów do nagrody.

Zaproszenie na skromną uroczystość przyjmują między innymi: prezydent Łodzi — **Jarosław Pietrzyk** oraz kierownik Wydziału Kultury KŁ PZPR — **Stanisław Dysbardis**. Wśród gości są znani twórcy i mecenas sztuki, aktorzy, plastycy, literaci, przyjaciele i sympatycy teatru.

Laureat przybywa otoczony swą artystów Teatru Wielkiego, którzy przerywają ostateczną przedpremierową próbę „Don Kichota”, by towarzyszyć szefowi i okłaskować go podczas ceremonii. Dziś rolę się odwróciły — gwiazda pierwszej wielkości jest dyrektor Pietras, zaś widownię stanowią aktorzy.

Witając laureata i wspaniałych gości, redaktor naczelny „Odgłosów” — **Lucjusz Włodkowski** stwierdza, że doroczna nagroda za upowszechnianie kultury, chociaż jest inicjatywą nową, to jednak wyrosła z tradycji również przez „Odgłosy” pilotowanego plebiscytu na Łódzianina Roku. Obecna nagroda dla propagatorów kultury szybko zdobywa sobie wysoką rangę w środowiskach twórczych, o czym świadczy choćby poczet tegorocznych kandydatów do niej.

Nagrodę wręcza Sławomrowi Pietrasowi jej fundator, dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego — **Piotr Sagan**, który nie ukrywa, że szczerze

cieszy się z faktu, iż szlachetna inicjatywa premiowania ludzi wybitnych, nieustraszonych w działaniach na rzecz wszechstronnego prezentowania dorobku kultury daje coraz widoczniejsze powody do nazwania jej „łódzkimi drożdżkami”.

Dziękując za wyróżnienie Sławomir Pietras mówi: „To bardzo dobrze, że ktoś chciał zauważyć nasze starania. Uchonorowano tylko mnie, ale moralna satysfakcja idzie do podzielu między cały zespół Teatru Wielkiego. Bo przecież gdybym nie kierował tak oddanymi ludźmi, nie byłoby mnie tu dzisiaj. Wszystko co wspólnie robimy ma jeden cel: wierność widzom, którzy nie mogą wychodzić z teatru zawiedzeni”.

Burza oklasków zebrani kwitują tę część wypowiedzi laureata, w której mówi o swej pracy i zamierzeniach, wyznaje: „Jestem młodym stażem łódzianinem, ale wiem już, że na bazie łódzkiego patriotyzmu można zrobić bardzo wiele. Chodzi o to, żeby stale i z uporem odmawiać pacierz wierności wspólnej sprawie. Bo w Łodzi można dokonać więcej niż gdzie indziej. Chciałbym, aby Łódź była najlepsza w Europie”.

Ciepłą atmosferę uroczystości podkreślił kameralny koncert współpracowników i przyjaciół Sławomira Pietrasa — artystów Teatru Wielkiego.





Plucie w tym przypadku to określenie raczej delikatne. Istnieje jedne ludowe porzekadło kłania własnego gniazda dotyczącego i je właśnie miałem na myśli, ale nie śmiałem w szacownym społeczno-kulturalnym tygodniku zbyt dosadnie się wyrazić.

A powód jest, bo wydawało się, że już nic w kwestii szargania dzieł ojczyzny nie może nas zaskoczyć. Był „ten kabotyń” — książkę Józef Poniatowski, co to chlup do Elstery, byli śmiech budzący, co to z lancami na czołgi, ba stawiano pytanie o sens walki we Wrześniu skoro można się było urządzić tracąc wprawdzie godność, ale ratując majątek. Kto ma co do tego ostatniego przypadku wątpliwości, niech zajrzy do „Stolicy” — w dwunastą rocznicę hitlerowskiej agresji.

Wydawało się, że nie rzucił grochem o ścianę nieodziałowany pułkownik Zbigniew Żalusi, gdy upomniał się o narodowe tradycje, o godność narodową, gdy w swej pamiętnej książce osiem epizodów z naszej historii za grzechy główne przez wielu uznawanych przekonująco, skutecznie wpisywał w narodową pamięć.

Diabła tam! Dwadzieścia lat prawie od owych zmagani upłynęło i oto przyszło mi co gorsza, na ziemi obcej — oglądać polski film dzieł naszych najnowszych dotyczący:

## O CZYM TEN FILM

„Szeroko rozwarł nogi leżącej dziewczyny. Siedzący na jej piersiach młody człowiek, a na brzuchu drugi, unieruchamiająca miotająca się ciało. Trzeci długo muci się z wpełnięciem w krocze butelki po winie, wciska ją wreszcie kolanem i rozbija kołba pistoletu.

Jeszcze jeden gwałt zbiorowy, wyjątkowo bestialski — pomyślisz Czytelniku przyzwoity do częstych doniesień prasowych na ten temat. To działo się w czasie okupacji — podpowiem i jeżeli czytałeś natychmiast przypomnisz sobie wstrząsającą scenę

ZENON JANUSZ MICHAŁSKI

## „Miesiąc Matki Boskiej” — czyli plucie we własne gniazdo

z „Kolumbów — rocznik 20” Romana Bratnego. Scenę, w której zrywającej nad rannym kolumbem Niteczce esesmani uśmiecchają się wbijając kopniakiem butelkę w pierś.

„Ale autor filmu „Miesiąc Matki Boskiej” stawia w roli oprawców żołnierzy Polski Podziemnej. Nie jest to nawet akt samowoli, samosąd, które to zjawisko zwielokrotnia się w czasach wojny.

Nie wynika jednoznacznie z przebiegu akcji spod jakiegoż znaku politycznego byli owi partyzanci, biorąc jednak pod uwagę fragmenty ich rozmowy, a i fakt, że to głównie Armia Krajowa prowadziła akcję karcenia — ale na miły Bóg nie w taki sposób — zadających się z Niemcami dziewczyn, chodzą raczej o akowców.

Wyszedłem z kina wzburzony do ostatnich granic i podejrzanym — niechaj Czytelniku wybaczą mi formę wypowiedzi — iż będąc na miejscu leśnych kombatanów nakładłbym zainteresowanym po mordzie, do czego zresztą naprawdę nie namawiam. „Zwykły okupacyjny dzień. Typowe podwórko warszawskiej kamienicy. Klejząca przed figurą Matki Boskiej gromadka kołbię modli się słowami litanii. W świetle odległej bramy przesuwa się patrol żandarmerii, a na klatkę schodową wchodzi młodzi, bardzo młodzi ludzie. Mężczyźni, właściwie jeszcze chłopcy.

## SZUKAJĄC ŹRÓDEŁ

„Było ich czterech i nie mieli w sumie osiemdziesięciu lat...” tak właśnie zaczyna się opowiadanie Marka Hłaski na kanwie którego powstał filmowy scenariusz. Ale Marek Hłasko napisał „Miesiąc Matki Boskiej” w 1962 roku, kiedy to wprawdzie od sześciu lat nie mówiono już „AK” — zapłuty karzele reakcji — ale nadal poplutowano często i gęsto na narodową przeszłość i nadal lekceważono mówiono o wielu przejawach narodowego czynu zbrojnego. Natomiast film „Miesiąc Matki Boskiej” powstał w połowie lat osiemdziesiątych, w ćwierć wieku prawie po pamiętnej batalii o narodowe wartości. Powstał w czasie, gdy już nie można zasłaniać się określonym klimatem politycznym, czy po prostu modą. Jedno i drugie należy do przeszłości.

A żal człowieka bierze i trwożyć się trzeba widząc co przynosi mariaż niedoświadczenia z bezmyślnością — bo tylko w tych kategoriach skutki owego filmowego zamysłu chciałbym rozważyć.

Oglądałem niedobry film. Niedobry nie tylko dlatego, że dopuszczający się gwałtu na historii. Niedobry, bo prezentujący papierowe dialogi wbrew elementarnej wiedzy o ludzkich zachowaniach. Oto dziewczyna, nie sprawująca wrażenia intelektualistki, zmuszona do rozebrania się ze świadomością, że za chwilę spotka ją coś strasznego, zamiast bronić się, krzyczeć czy zniechęcić w porażającym strachu, przeistacza się w mentora spokojnie strofującego intruzów. „Jesteście tylko dziećmi — powiada — którym dano się pobawić bronią zanim zginą...” Chłopcy są mniej subtelni. Przekonują się wzajemnie o słuszności wyroku na kims to p... się z gestapowcami, ale nie protestują, gdy dziewczyna twierdzi, że zadawała się z jednym tylko Niemcem i nie za pieniądze, bo go po prostu kochała.

## MYŚLENIE — RZECZ TRUDNA

Pokazano ten film w poczdamskim „Thalia-Theater”. Opuszczając demonstracyjnie salę kina przy akompaniamencie braw nagradzających pokaz, dokładnie — obawiam się nawet, że zbyt głośno — zamykając za sobą drzwi. Zastanawiałem się spacerując samotnie po poczdamskich uliczkach jak odbiera taki film przeciętny obywatel Niemieckiej Republiki Demokratycznej, u którego długoletnia wytrwała praca komunistycznej partii ukształtowała właściwy pogląd na czasy wojny i istotę hitlerizmu. I oto takiemu widzowi prezentuje się polski film o polskim nacjonalizmie i polskim okrucieństwie w owych czasach pogardy. Jeżeli już powstał taki film, to ziemia niemiecka jest ostatnim miejscem, gdzie mogłoby zostać pokazany. Myślenie to rzecz trudna — jak już wcześniej pozwolili sobie zauważyć, ale myślenie polityczne, to rzecz bardzo trudna.

Pokazano „Miesiąc Matki Boskiej” w Poczdamie, w ramach przeglądu prac studenckich wyższych szkół filmowych krajów socjalistycznych. Powstał ten film w ramach zajęć dydaktycznych na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Zrealizował go młody człowiek — mniejsza o nazwisko, bo nie o atak personalny tu przecież chodzi, a o problem. Młody człowiek mógł z pewnych uwarunkowań i konsekwencji nie zdać sobie sprawy, chociaż — prawdę mówiąc, powinien. Ale każdy studencki film ma swojego artystycznego opiekuna po to między innymi, aby nie powstawały tego rodzaju — ogólnie mówiąc — ideowe nieporozumienia.

Kiedy młodzi ludzie w omawianym filmie szykują się do wykonania okrutnego rozkazu, zebrane na podwórku kobiety śpiewają... „Matko dobrej rady zmiłuj się nad nami”. Zabrakło dobrej rady młodym reżyserowi, no i skutek jest taki, jaki jest. Nie stanowi „Miesiąc Matki Boskiej” wiernego przeniesienia na ekran opowiadania Marka Hłaski. U Hłaski, tę swoistą eksplozję okrucieństwa kończy jednak ludzki odruch, coś co budzi nadzieję. Jeden z tych młodych przez cały czas akcji mający wątpliwości: „nie chcę przeżyć tej wojny — powiedział głośno do siebie — bo zawsze kiedy będę się modlił, będę myśleć o tamtej. I one zawsze będą dla mnie wyglądać jednakowo”.

W filmie młody człowiek po skończonej akcji dołącza do grupy młodych, się kobiet niemilosierdzie fałszując melodie litanii. I w tym tego fałszowaniu — chociaż niewątpliwie efekt to niezamierzony — jest cała prawda o filmie.

## 1 Co wynika z analizy rentowności?

Łódź jest — jak powszechnie wiadomo — miastem, które dworzec kolejowy ma w Kólszkach a lotnisko w Warzawie. Przeto lodzianie dawno już przywykli, że każdy nowy rozkład jazdy PKP urealniali to powiedzonko: co i raz likwiduje się jakieś połączenie, skazując łódzkiego klienta PKP do odbywania (interesujących skądinąd) podróży do Kólszka i Kutna. A stamtąd już hajdał w świat szeroki.

Wydawało mi się dotąd, że to kolejowe upośledzenie Łodzi jest w jakiś sposób rekompensowane przez PKS. Do niedawna mi się tak wydawało, ponieważ PKS w dobie reformy postanowiła swemu starszemu bratu nie ustępować i odnośnie władze skreśliły lekką rączką 239 kursów autobusowych w okręgu łódzkim. Powody? Proszę bardzo: brak taboru i — uważaj! — analiza rentowności niektórych linii, która wypadła negatywnie.

O braku taboru dyskusować nie będę, od pewnego czasu nie takie braki nas zaskoczyły... Ale ta analiza! Śmiem powiedzieć zarówno w jej wyniki jak i system, w którym ją przeprowadzono. Znamy, znamy z lat poprzednich takie analizy ekonomiczne, takie śmiałe koncepcje obliczania kosztów produkcji obrabiarek jak sumowanie zużycia na nie żelastwa, obliczanie efektywności budownictwa na podstawie zużycia cementu. Teraz pewnie ktoś zsumował koszty paliwa i płace kierowców, doliczył tzw. koszty ogólnozakładowe i porównał to z wpływami za bilety. Wyszło mu jak na dielni że „nie ma karkulancji” i część, po analizie. Jeśli to jest analiza, panowie magistrowie od ekonomii, to ja taką metodę poznałem w czwartej klasie szkoły podstawowej rozwiązując zadanie o cenie dziesięciu kilogramów jabłek, przy uwzględnieniu smutnego faktu, iż trzy kilogramy zgniły. Zadanie rozwiązałem na piątce, ale nikt nie dał mi za to tytułu magistra ekonomii ani nie zatrudnił w charakterze „analityka” rentowności w PKS, za co jestem do dziś głęboko wdzięczny odnośnym władzom, mimo że było to w okresie błędów i wypaczeń, co tu ukrywać, za berliowszczyznę to było...

A skoro już przy kosztach PKS jesteśmy, to palcem mogę wskazać linie, na której najczęściej jeżdżą, tj. Łódź — Kielce, gdzie — tak na oko — około 10-15 proc. wpływów za bilety zasila skromne zarobki kierowcy. Co dziwniejsze, nie znalazłem tej linii na liście zlikwidowanych kursów. Na innych liniach jest jeszcze gorzej?

Ekonomika transportu nie jest zdaje się najmocniejszą stroną ekonomistów naszych naukochańskich, o czym świadczą jeszcze jenna ciekawostka z tej dziedziny. Nasi kopacze piłki pololeci na Mundial (daj im Panie Boże medal) samolotem Lufthansy. Ktoś docieklawy sprawdził dlaczego i okazało się, że Lotem byłoby dwa razy drożej! Domyslać się należy, że kalkulacje Lotu są podobne jak kalkulacje PKS i stąd cena biletu. Za to ciemniaki z Lufthansy nie mogą się doliczyć co i jak dopłacają — frajery! — do pasażerów. Mało tego, własnemu personelowi płacą, lekko licząc, parę razy lepiej niż Lot, że już nie będziemy się zastanawiali czy lepiej mieć wypłatę w banknotach z księdzem Kopernikiem czy z księdzem Marcinem Lutrem.

Zapytałem niedawno pewnego byłego w świecie człowieka dlaczego — jego zdaniem — nie przyjeżdża do nas wielu dolarowych turystów, choć dla zachodnich Europejczyków czy Amerykanina jesteśmy krajem wyjątkowo atrakcyjnym. Bywałec ów opowiedział mi, że spędził urlop na Mazurach w tzw. samodzielnym bungalowie. Zapłacił za to słono Orbisowi, która to firma w sezonach poprzednich wynajmowała takie bungalowy turystom dewizowym. Ale ostatnio Orbis też dokonał „analizy” rentowności i podniósł ceny. Przy okazji firma zaniedbała dokonania analizy stanu tych bungalowów i straciła dewizowego klienta.

Jest drożej, ale za to brudniej i co nieco się w tych bungalowach rozleciało.

Takie domki — powiedział bywałec — nazywano dawniej „szalejami” i po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że nazwa ta uzyskała, że się tak wyrażę — nowy blask i porażającą trafność...

Orbisowscy analitycy mielił widocznie dobre stopnie z przedmiotów ideologicznych i wiedzą, że tacy Amerykanie na przykład mają masę forsy pochodzącej z wysiłku własnej klasy robotniczej oraz państw trzeciego świata i ideologicznie najsluszniejsze jest, żeby tę forsy zostawili nam, my bowiem użyjemy ją na cele ideologiczne słuszne. Razem z kolegami — analitykami z Lotu wysrubowali ceny tak, że Amerykanin, choćby i najbogatszy nie przyjeżdża do nas wydawać swych brudnych dolarów. No i dobrze, ples z nim tańczował, oni nam sankcje to i my im sankcje! I znowu jest ideologicznie słusznie, tyle że forsy nie ma...

Kółko się zamyka. Kółko, jakie zrobimy sobie palcem na czole.

ANDRZEJ KAROL

## 2 Spojrzenie z nad szachownicy

## Jesteśmy za starzy, niestety

1. Nie wiem, nawet nie próbuję zgadywać, jaka jest średnia wieku czytelników „Odgłosów”, a także — bo to byłoby najistotniejsze — ile wiosen liczy sobie tych czytelników pokolenie najmłodsze. Nie wyklużam, że niektóre ilustracje do niektórych tekstów mogły zainteresować nawet zupełnych małałotów, ale tych pomiędzy prawdziwych czytelników raczej być nie liczył, przyjmijmy więc arbitralnie, że pismo jest czytane, bądź przynajmniej przeglądane, przez ludzi liczących lat, więcej niż szesnaście.

Jeżeli tak, to stwierdzam z prawdziwą przykrością, że nie ma wśród nas kandydata na mistrza świata w szachach. Jesteśmy za starzy, niestety!

2. W dość powszechnym odczuciu prawdziwe osiągnięcia szachowe przychodzi w wieku dojrzałym, zresztą również wśród fachowców panowało do niedawna przekonanie, że szczyt możliwości w tej grze bądź co bądź umysłowej osiąga się gdzieś w wieku 30-35 lat.

Capablanca zdobył szachową koronę licząc lat 33, Alchihin wywalczył tytuł w wieku 35 lat, Botwinnik — to już było po ostatniej wojnie, w 1948 roku — koronował się mając lat 37. Panował długo, najdłużej po Laskerze, bo aż lat 15, dwukrotnie tracąc co prawda tytuł na jeden rok, ale odbierając go w rewankowym meczu.

Nie wymieniam tu wszystkich mistrzów świata, jedynie najgłośniejszych, Petrosjan zdobył wszelkiego tytułu licząc 34 lata, Spasski mając lat 32, Fischer miał ich 20. Powtarzałaby się tedy prawidłowość, że najlepszy wiek szachysty zamyka się pomiędzy 30 a 35 rokiem życia, a jeżeli wziąć pod uwagę jednostki wyjątkowo utalentowane (Tal, Lasker), bądź cięszące się wyjątkowo dobrym zdrowiem i dobrą formą psychiczną (jeszcze raz Lasker, no i oczywiście Botwinnik), przedział ten można rozszerzyć na całe ćwierć wieku, między 25 a 50 rokiem bytowania na tej naszej najukochańszej Ziemi.

3. A tu — bach! Pojawia się Anatolij Karpow, tytuł arcymistrza zdobywa jako osiemnastolatek, zaś w sześć lat później jest już mistrzem świata, co prawda o kilka miesięcy

starszym niż Tal, gdy siegał po szachową koronę.

Urodzony 13 kwietnia 1963 roku w Baku Garri Kasparow osiąga wszelako to wszystko jeszcze szybciej. Arcymistrzem zostaje mając lat siedemnaście, mistrzem świata — licząc dwadzieścia dwa lata. Dodajmy, że zostaje trzynastym mistrzem świata, w trzynastu lat od chwili, gdy tutaj ten zabrał radzieckim szachistom Bobby Fischer, zaś w decydującym meczu Garrik zdobył trzynastę punktow. Tę magię „trzynastki” — młody champion nie wstydił się tego niewinnego zabobonu — można jeszcze rozbudowywać. „Proszę nie zapominać — mówi w jednym z wywiadów Kasparow — że 8 i 5 daje też 13, a mecz odbył się w 1985 roku”.

4. Z lubością piszę o tych trzynastkach, sam bowiem urodziłem się trzynastego, żarty jednak żartami, a we współczesnych szachach dokonała się jedna jeszcze rewolucja — wiekował Granica wielkiego wyścynu gwałtownie obniżyła się w dół i bez większego ryzyka można powiedzieć, że kto nie zdobędzie tytułu arcymistrza około dwudziestki, o najwyższych laurach nie ma nawet co marzyć.

I tak to wygląda. A ponieważ w Polsce nie ma ani jednego odpowiedniego młodego arcymistrza — mamy ich zresztą zaledwie dwóch, niestety na rankingowych listach żaden z nich nie mieści się w pierwszej setce sklasyfikowanych zawodników — moja prognoza pozostaje w bezlitosnej mocy. Być może pęta się po którymś z przedszkoli jakiś petak, który w przyszłości zaważy o szachową koronę, tych jednak, którzy opanowali piękna sztukę czytania „Odgłosów”, a także pisywania do nich korespondencji, musimy — bardzo mi przykro — z listy kandydatów skreślić.

To byłoby na tyle, przynajmniej na dzisiaj. Cierpliwość Łaskawych Czytelników ma wszelako swoje granice, a że dość długo trulem wszystkich szachami, na następny raz przygotowałem miła niespodziankę. Zamiast „SPOJRZENIA ZZA SZACHOWNICY” będzie — prawie że — „SPOJRZENIE ZZA GROBU”, słowem spróbuję opowiedzieć w sposób możliwie pogodny, jak ja sobie umierałem i jak ja ani trochę nie umierałem.

Ciekawe, pouczające, autentyczne! Wkrótce, czyli niebawem! Tylko u nas, na tych oto łamach! Komu, komu, bo żałuję i naprawdę umrę!

JERZY P.

## 3 Felieton pesymistyczny

## Szloch wuja Leona

Szanowny Panie Redaktorze!

W pierwszych słowach swego listu chciałbym serdecznie podziękować w imieniu kolegów i swoim za ostatnią przesyłkę. Szczególnie jestem wdzięczny za program telewizyjny, firmowe koszulki i korektorki. W chwili, gdy kreślię te słowa siedzimy właśnie w sali telewizyjnej i dzielimy się numerami. Jutro pierwszy mecz, a wylosowaliśmy ciężką grupę: w „koszyku” czwartym oprócz nas znaleźli się jeszcze symulanci z pawilonu B, bardzo mocna ekipa z reanimacji i odmiłodzona obsługa prosektorium. A przecież chcemy wyjść z grupy!

„Docent”, zagrasz na lewym, dawaleś lewe L-4, to ci dobrze pójdzie — magister B., czyli nasz coach rozdzielał koszułki. — Jasiu, ty pomoć, chodź! — „docentem”, pamiętasz? No, to bierz swój sprzęt...

Jasiu jest u nas od niedawna, miał prosperujący zakład pod tytułem „pomoc drogowa”. Ale gdy wyszło na jaw, że o stro handluje paliwem i częściami zamiennymi — musiał się rozechorować. Ale w pomocy wciąż jest dobry...

— Panie prezesie, gdzie pan jest? — magister poszukiwał wzrokiem potężnej sylwetki Prezesa, który po ostatnim,

niezbyt udanym występie (uderzenie w twarz bramkarza gości, samobójcza „jedenastka” i kradzież gwizdka) ukrywał się dziś za rozłożoną płachtą „Szaradziasta News”. — No już dobrze, jutro zagrasz pan wysuniętego libero...

— Czy pan mnie aby nie obraża? — próbował się upewnić zagadnięty.

— To nawet kulturalna gra ta piłka nożna — odezwał się szepem siedzący obok mnie kolega Lameta. Czekal na przydział i widziałem, że drzy lekko. Coach był świadkiem jak Lameta umykał kiedyś przed sanitariuszem Józkiem, a sadził przez łóżka szybkiej od czarnoskórych plotkarki. I teraz bał się, by magister nie powołał go na środek napadu.

— Wie pan, tak sobie myślę, niby szybka, męska, nawet fauli czasem sporo, ale przypadki ciężkich kontuzji do rzadkości należą...

— Spokojnie, kolego, spokojnie, na zgrupowaniu nie byliście, z kontrolą antydopingową też na bakier, może pójdziecie tylko na ławę rezerwowych — poklepałem go pocieszająco po plecach. Rozluźnił się nieco i dalej szepotał:

— Byłem trzy dni na przepustce, to znaczy — niecałe, bo dobie wcześniej wróciłem. Tam rzeczywiście trudno wytrzymać po naszej siłance, a jeszcze jak wujka Leona zobaczyłem...

— Pewnie śmiał się i podrywał, sztydził i wykpiwał?

— Nawet nie, głównie płakał...

— Nad kolegi losem?

— Nie, tak ogólnie. Wujko w młodości boks trenował, wiele lat. Chyba nie za dobrze mu szło, głównie występował jako worek treningowy. I teraz coś z głową niegęto. Co się do niego nie odezwać — płacze. Mówię, że go dawno nie widziałem — a on buuuu! Ciocia wspomniła, że za chwilę Kłoss w telewizji, a on jak nie zacznie szlochać, moja znowu nieopatrnie coś o pogodzie — wujko aż się zanosi od płaczu...

— Lameta, kończ pan te pogaduchy — magister już nas wypatrzył — kwituj pan, o tu, odbiór koszulki i butów. — Jutro robisz pan za „Dziękana”...

Nawet sprawnie szło. Role rozdzielone, lewa kesa też, półgodzinny wykład magistra o taktyce najbliższego spotkania spotkał się z wyraznym aplauzem. Tylko goldkiper Mikuta niezrecznie spytał o marki samochodów i przydziału walut. Coach spokojnie wyjaśnił, że trwają rozmowy z BMW i Ferrari, ale na razie trzeba myśleć o wyjściu z grupy. Po czym zawodnicy rozeszli się do łóżek. Nas czekało jeszcze ustalenie szczegółów, powiedzmy, organizacyjno-taktycznych.

— Co z masażystą? — przepytwał mnie magister.

— Sanitariusz Józio odmówił, skaperowałem siostrę przełożoną. Widziałeś przecież jak się chłopaki do sał raczo rozbiegli, ona za godzinę bierze się do pracy...

— W porządku, taśmy masz gotowe?

— Prawie wszystkie, jeszcze raz przejrza...

— No, to do jutra. Idę do siebie, może też wezmę masaż?

Zostałem sam w sali. Zgrywałem jeszcze końcówki, gdy z termosem w garści zajął ordynator Łysol.

— O, witam kierownika drużyny! Co pan tu jeszcze robisz o tej godzinie, panie Stefanie? Widzę jakieś taśmy wideo. To pewnie z meczów przeciwników?

— Też, i inne, różne takie...

— Zaraz, zaraz, cofnij pan kawalek, panie Stefku drogi. Tam mi mignęła taka gola, ta, no, kobitka! Cóż to za taktyka, nieźle to „mecz kontrolne”! Masz pan inne też?

— Ale to tak między nami: to mój patent i ręczę, że wyjdziemy z grupy. Przed spotkaniem serwuję chłopakom w szatni fragmenty „Emanuelle”, „Caliguli”, trochę reklamówek samochodów i kasyn gry. W przerwie — urywki „Wielkiego Jarcia”. Po meczu — leciemy już w całosci. Oczywiście jeśli spotkanie wygramy. Ale w eliminacjach tylko raz się inaczej zdarzyło...

— I co wtedy? Chowa pan kasety?

— Skąd! Józio bierze ekipę na górę, w pasy, a ja im serwuję po kolei „Kamienne tablice”, „Kłossa”, „Pana Wołodjowskiego”, „Isaurę”...

— O jutrzejszy wynik jest pan spokojny?

— Raczej tak. Na dzisiejszej odprawie pokazałem wszystkim te dwie walki.

— A co tam pan ukrywasz za atrakcje?

— Pożyliśmy piękny serial brazylijski, ponad trzysta odcinków...

STEFAN ŻYCIOWY



# Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(3)

— Napaliłem się. — Był chłepię speszony i wyglądał bezbronnie. — Jesteś seksowna dziewczyna. Napaliłem się i straciłem nad sobą kontrolę.

Już od kilku lat obserwowała u siebie wzrastające upodobanie do młodych mężczyzn. Pewnie wynikało to z jej niezsapokojonych instynktów matczyńskich, bo tak jak matka dzieciom potrafiła im wiele wybaczyć, Ronnie tamtego dnia ujął ją swoim bezbronnym wyglądem, tym, co jej wstydliwe wyznał i sposobem, w jaki ją postawił — z zapamiętanym pozą-daniem, nie pozostawiając jednak delikatności. To było wręcz rozczulające. A już kompletnie ją obezwadniał, kiedy się rozkleił i zaczął opowiadać o sobie.

Był absolwentem uniwersytetu stanowego w Oregonie i marzył o karierze artystycznej. Jeszcze w trakcie studiów pisał krótkie utwory satyryczne, ale jakoś nie mógł wy-dostać się z nimi poza lokalną prasę i wypłynąć na szersze wody. Dopiero później, pracując w firmie wydawniczej „Voluma”, stworzył coś naprawdę wartościowego: nowelę, którą wydawnictwo „Arguss” obiecało zamieścić w „Corocnym Almanachu Debiutów”. W wysyłkowej tej firmie nie pracowal zresztą długo, odszedł z niej, kiedy wytwórnia filmowa zaoferowała mu przyzwoitą sumę za prawo do przerobienia jego utworu „Stek” na reklamówkę telewizyjną. Oczywiście uchwycił się tej szansy — miał dostarczyć stosy podobnych utworów. W ciągu tygodnia napisał tuzin szkiców, dosłownie przebijających, ale facet, z którym poprzednio pertraktował w sprawie „Steku”, tym razem ledwo spojrzal na jego maszynopisy. Zaczął natomiast pisać coś o męskiej przyjaźni i zaprosił go na lunch do jakiejś pedrylskiej knajpy, więc Ronnie poradził facetowi, żeby wziął największy teleobiektyw, jaki mają w wytwórni i wsadził go sobie w rękę. Teksty szkicy wysłał do agencji reklamowej i od tej pory doradczo imal się różnych zajęć, dopóki nie skończy swojej pierwszej powieści i nie spaśnie na niego fortuna.

Później Lucy przekonała się, że Ronnie mówił prawdę, wtedy jednak jego zwierzenia brzmiały jej w uszach jak powiastka z „Podręcznika podrzucacza” uwzględniająca gustu licealistek.

Początek tego scenariusza, te wysubtelne koszałki-opalki nie są więcej warte niż dwadzieścia dolarów, Ronnie — oświadczyła. — Jeżeli przyjdzie do mnie dziś wieczorem z udatniejszym zakończeniem, dostaniesz resztę plus gratyfikację za określone wartości warsztatowe.

Zakończenie rzeczywiście było udatniejsze, zwłaszcza, że trwało aż do rana. A rano Ronnie powiedział:

— Nie chcę twojej forsy, Lucy. Pozwól mi tylko spłukać się z tobą znowu.

Zamruczała z zadowoleniem, leżąc przy nim — naga, ukojona w sennym błogostanie.

Dobrze, dziecko! Będziemy spotykać się od czasu do czasu. Skoro postanowiłeś zostać męską prostytutką, pomogę ci podnieść kwalifikacje. I zanim się spostrzeżesz Ronnie całkowicie nią zawładnął. Czy może całkowicie zawładnął sferą jej życia prywatnego. Wspólnie spędzali weekendy i jeździli po sprawunki, widywano ich razem na przyjęciach, na wyprzedażach i w zacisznych, egzotycznych restauracjach. Kiedy mogła uwolnić się od obowiązków, Ronnie już był w pobliżu i dbał, by ani przez moment nie czuła się samotna.

Tymczasem wydawnictwo „Arguss” opublikowało „Corocny Almanach Debiutów” z nowelą Ronniego a w następnym miesiącu agencja reklamowa, do której Ronnie wysyłał swoje

utwory, zgłosiła opcję na dwa jego szkice pod warunkiem, że dokona w nich drobnych zmian. On jednak ze znużonym uśmiechem przekartkował „Almanach” i niedbale odłożył go na półkę; ofertę agencji reklamowej w ostatek zlekceważył.

Dla Lucy było to postępowanie nie dające się logicznie wytłumaczyć. Przed Ronnie'em los otworzył nowe możliwości, ale Ronnie raptem je odrzucił. A ponieważ nadal ją emablował, nie odstępował jej na krok i niecierpliwie wyczekując okazji, wy odszł z nią do łóżka, uwiertzył w to, co od początku było nierealne — że ten dwudziesto-czteroletni przystojny i utalentowany mężczyzna zdecydował się zrezygnować dla niej z kariery pisarza. Dla niej — powiedzmy to wyraźnie: dla trzydziestosześcioletniej, nieco apodyktycznej i nazbyt swobodnej w obyczajach kobiety o przeciętnej urodzie, przy tym uwalnie niezamężnej, chociaż te cztery salony mody przynosiły niezły roczny dochód. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że Ronnie nie ma powołania do pióra, że urodził się na męską kurkę i pospolitego uwodziciela.

— A ja mu pomogłam — powiedziała Lucy do pustego pokoju. Pchnęła drzwi i wyszła na balkon. — Pomogłam mu zdobyć kwalifikację.

Mrużąc oczy przed słońcem zblżyła się do balustrady i spojrziała w dół. Po przeciwnej stronie szosy, na stacji benzynowej stał niebieskoperłowy Buick Apollo pokryty kurzem długiej drogi. Czarny chłopiec w kombinzonie polerował jego przednią szybę, podczas gdy obsługujący dystrybutor męczył się udzielać informacji pasażerom samochodów. Rozprzane powietrze drżało nad dachem przyległej do stacji hali handlowej i kafelek. Na prawo od niej, w odległości ponad stu metrów, przycupnął pojedynczy kiosk „Kentucky Fried Chicken”. Na lewo, w cieniu drzew, wznosiła się wieżowa wieżyczka Howarda Johnsona, której szpic — oglądany z tej wysokości i pod tym kątem — dotykał linii horyzontu, gdzie widać było kondominia zbudowane na peryferiach miasta położonego dalej na północ. I chyba stamtąd napływał ten ni-kły, konający przyspiew syren alarmowych, jeśli nie był on tylko złudzeniem.

Tak, pomogła mu zdobyć kwalifikację. Nauczyła go rozmaitych sztuczek, gruntownie i wyczerpująco omawiając geografię kobiecego ciała i szczególnie cenione przez kobiety rodzaje pieszczot. Może robiła to z pobudek perwersyjnych, jak ta młodzianka angielska nauczycielka, która rozbrała się w klasie, by utrwalić uczniom zgłębienie tajników płci; może z wyrachowania, bo wysokie kwalifikacje to gwarancja wysokiej jakości usług świadczo-nych także dla niej. Mało ją to obchodziło, czym się Ronnie zajmuje, kiedy nie są razem. Przez szacunek do każdego zajęcia dającego zysk gotowała się do częściowego ustępstwa. Rozumiała, że Ronnie musi być w pełni siły, tryskać energią i działać z rozmachem, jeśli ma się utrzymać na tym przesyconym rynku. Swoją pogardę i odragę przenosiła na wszystkie te rozparzone baby, które ograniczały jej prawa. Pocięszała się jedynie nadzieją, że one płacą za to, co Ronnie ofiarowuje jej bezinteresownie. Bezinteresownie i w postaci uszlachetnionej nieklamanym uwielbieniem.

Alle Ronnie pogwałcił etykę zawodową: zaczął świadczyć usługi darmowe. I to w jej domu, w jej łóżku i jej mi-dynetcie! Nie dość, że od tej głupiej paski nie brał pieniędzy, on ją jeszcze obsypywał upominkami, zapraszał na luncha i do teatru. Nie, tego w żadnym wypadku nie można było tolerować. Ta dziewczyna dzisiaj rano w ramach reorganizacji została zwolniona z pracy, a Ronnie wieczorem znalazł się poznaczony liścik w drzwiach domu, który do niedawna był także jego domem. Lucy opuściła balkon i za-

ciągnęszy kotary, by ocienić pokój, usiadła na tapczanie, obok torebki. Powoli zdjęła pantofle, mikiętkę, ciasny biustonosz i figi z cielistego tiulu. Potem poszła do łazienki.

„Pa, pa, Ronnie. Zostań zdrow ze swoją Connie”.

Krótki liścik o blażej treści utrzymywany w żartobliwej formie. Tylko czy ten obdarzony cyniczną wyobraźnią młody żrebak fałszywie nie dopatrzył się w nim jakichś ukrytych intencji, nie ubzdura sobie, że ona napisała go pod wpływem uczucia zranionej dumy, bolesnego zawodu i pragnienia odwetu?

— Nie — odkręcając kurki przysnuciu Lucy pocięsnęła głowę. — Mój Boże, przecież nigdy nie dalaś mi dowodu na to, że jestem o niego za-drosna.

Nie, nie, zazdrość stanowiła nie wchodzi w rachubę. Ona o-tworzyła po prostu nowy rozdział swojego życia. Nowy salon mody, nowa koncepcja reklamy, nowy styl, nowe podejście do klienta, nowy personel, nowe zamki i nowe systemy alarmowe. I ten jej dzisiejszy wyjazd zaplanowany na parę dni... to wyprawa po nowego przyjaciela. Typowa wyprawa na podryw — szybkim sportowym kabrioletem, by każdy widział, że prowadzi go kobieta niezależna, z temperamentem i całkiem seksowna mimo tej trzdziesiątki, bo na więcej nie wygląda. Kobieta, która wie, czego chce — to pewnie. Jej drugi samochód, Chrysler Rout-Dignity, byłby zbyt dostoyny na taką wyprawę. Zostawiła go w garażu, celowo rezygnując z komfortu podróży, żeby podkreślić swoją przynależność do świata, kiedy w odkrytym Chargerze mknąć będzie przed siebie z dekoltem chłodnym pędem powietrza i z romantycznie rozwianymi włosami. Ale po wydośtaniu się z miasta, na przejechaniu kilkunastu kilometrów w tej spiekocie zrozumiła, że postąpiła nieroztropnie. Fantazyjny zapach dezodorantu, którym przed wyjazdem skropiła się obficie, wywiewał zupnie, parujący z jej twarzy pot zamgłił szkła okularów

przeciwstojących, materiał sukienki oblepił jej ciało. Na do-miar złego rozboleła ją głowa, a ten biustonosz od Dewlapa, nawiązujący fasonem do gorsetu z okresu fin de siècle'u, reklamowany jako „Wytchnienie dla ciebie i pokusa dla niego” — tak wygodny, kiedy nałożyła go po raz pierwszy — przestoczył się nagle w zacisnąętą pętlę. Musiała go zmienić czymś przedziś, w ogóle się przebrać, więc wynajęła pokój w najbliższym motelu, jęki był po drodze. Przy sposobności weźmie w nim odświeżającą kąpiel, może nawet przepierze białinę... Wy-wiesi ją na balkonie i czeka-jąc, aż ona wyschnie, trochę od-sapnie przed dalszą podróżą. Jakis cynik formatu Ronniego pomyślałby pewnie, że to tylko pretekst, bo w istocie ona chce ponownie, z dala od wiel-komiejskiego zgiełku i pośpiechu, rozważyć swoją decyzję o zerwaniu, byłby jednak w błę-dzie. Decyzja ta jest nieodwołalna.

Teraz, stojąc pod przysnuciem, chłonięła każdym porą skóru chłód spływającej po niej strumyczkowskiej wody.

Pa, pa, Ronnie. Zostań zdrow ze swoją Connie”.

## PEDZ, PEDZ, KAMIKADZE

To byłaby rzeczywiście znakomita relacja z „Aukcji Ubiórów Znaných Gwiazd” i ponadto mogłaby się stać kanwą, zmyślonej, bo zmyślonej, ale jakże wzruszającej sentymentalnej historii potajemnego romansu!

— Dlaczego byłaby? — spytała Doreen Thornhill znad kierownicy Chevroleta Accord Leila o fioletowej karoserii. — To jest znakomita relacja i niech no Dan spróbuje mieć inne zdanie. Wsadzimy do niej parę autentycznych migawek z tamtej aukcji, żeby nadać jej wiarygodności... Choćby o tej halce pękniętej wzdłuż szwu na białści. I te komentarze lu-dzi przed gablotą, gdzie ją wy-

stawiono. Sara Godfrey, kto by uwierzył! Potrafiła bez wahania kupić jacht za stu tysięcy i płacić ciężką forszę za dobre miejsce do cumowania, żeby raz w roku pokazać się na jego pokładzie, ale za jej było wyrzucić starą halkę i jeszcze ją reperowała. Widziałeś tę dziurę pod pachą, co? I wiesz, o czym to świadczy? Że ona faktycznie była obzartuchem nie lada, skoro wszystko tak na niej pękło, i że przed każdą produkcją podda-wano ją reżimowi odchudzają-cemu. Te jej wyjazdy z Hollywood do domu w Górach Skalistych wcale nie miały służyć relaksacji psychicznej. Agenci wyciskali z niej tam siódme poty na sprzęcie sportowym w salce treningowej przy garażu... Albo buty staruszką Meyersona... jeden mahoniowy, drugi granatowopieplaty... które włożyła na swój benefit do czarnego garnituru, bo zgrybiały Claris, służący, spłił się w przeddzień na u-mór trzema szklankami wiśniówki, zresztą on i tak nieo-widział, a Złany Gwiazdor Meyerson, jak się dopiero teraz okazało, od dziecka cierpiał na daltonizm. Niezle, co, Jerry?

— Uhum — odpowiedział Jeremey Brown, którego myśli błądziły na wschód od Oakland i na północ od trasy pokonywanej przez fioletowy Chevrolet Accord Leila.

— A mówią, że dziennikarze wywieszają wszystko — Doreen dodała gazu, jakby usiłując przekonać otoczenie o bezkompromisowości i uporze w działaniu jej kolegów po piórce, co spowodowało wyprowadzającą ich właśnie Honde-Civic do przyspieszenia i głośniego dania im przestrógi melodyjnymi klaskaniem. — Pedz, pedz, kamikadze — mruknęła za nią Doreen i znów wróciła wspomnie-niami do „Aukcji Ubiórów Znaných Gwiazd”. — Ileż tajemnic kryje się w tych cuchach! Weźmy woalke Tessa Cronby, którą ktoś rąbnął z gabloty. Ona włożyła kapelusz z tą woalką na pogrzeb męża. I posuchał: pogrzeb dobiega końca, żałobnicy opuszczają cmentarz, no i Tessa też wsiada do samochodu. Ale zamiast wracać do domu każe swojemu kierowcy skręcić w polną drogę i jechać do jakiejś zapomnianej, bezpańskiej farmy. W jakim ona mogła być wtedy wieku? Z pewnością miała więcej lat niż ta farma. Wyobrażasz sobie? Nasza wdowa w czarnej woalce, której nawet nie podniosła, pochylona nad swoim kierowcą wypreżonym na zapadniętym legowisku w niszczącejszej szopie. Pieprzne, co, Jerry? Wyobrażasz to sobie?

— Uhum — odpowiedział znów Jeremey. Mógł sobie wyobrazić dużo więcej, ale jego myśli zaprzętała pilniejsza sprawa.

— Trafiałeś w dziesiątkę z tą historią o karmazynowych majtkach Artusa Torrensa — mówiła dalej Doreen. — Ta czarna woalka zresztą nie spuentuje. Jeszcze jedna podobna historia, taka z odrobina grozy i niesamowitości... może o czyjejsz koszułi rozdartej ciemsem noża albo o pończoszce, którą ktoś kogoś udusił... do tego wsadzimy parę tych autentycznych migawek i rzecz będzie gotowa do druku. Pracujemy nad tym wieczorem, a jutro rano w Winslow podkutyjesz stenogram telefonicznie do redakcji.

Usłyszawszy nazwę „Winslow” Jeremey westchnął i zanurzył dłoń w skrytce, sięgając po nowego papierosa. Sprawa, która zaprzętała jego myśli, była związana z tym miastem. Nie chciał tam teraz jechać, miał inne plany. Od pewnego czasu zastanawiał się, jak nakłonić Doreen do zboczenia z trasy i jednodniowej wycieczki na północ. Wielki Kanion! Trzeba być głupcem, by nie skorzystać z takiej okazji, skoro ten cud świata jest w zasięgu ręki, zaledwie sześćdziesiąt mil w linii prostej.

Jeremey wydmuchnął dym przez nozdrza i w zadumie obrzucił wzrokiem autostradę, nad którą przepływały żółtawosine masy powietrza, kłębiące się i falujące. Musi przekonać Doreen, zanim dojadą do miasta Williams, bo potem za każdym przebytym jardem będą maleć jego szanse.

— Winslow? — powiedział niedbale. — Czy ktoś nas goni? Wolałbym przenoćować we Flagstaff.

Ostatecznie Flagstaff też ma dogodne połączenie z Paikiem Narodowym Wielkiego Kanionu i jeśli nawet po drodze nie uda się namówić Doreen na tę wycieczkę, zostanie jeszcze noc na znalezienie argumentów. No i przede wszystkim Flagstaff leży tylko czterdzieści mil dalej na wschód, podczas gdy Winslow... ponad sto, rany boskie.

— We Flagstaff nie będzie wolnego miejsca w żadnym hotelu — odparła Doreen. — Tam zawsze jest sakramencki natłok turystów. I stale odhychają się zjady Indian.

— Więc możemy przenoćować w Williams — zaproponował Jeremey nadal tonem teatralnie niedbającym.

Doreen oeniła odległość dzielącą ich od pojazdów jadących przed nimi i zerknąwszy w lusterko wsteczne pochyliła się do przodu, zaglądając w twarz swojemu koledze, patrząc na niego spod rzęs.

— Jerry, jaki ty masz w tym interes?

— Interes? — Jeremey był uosobieniem niewinnego zdumienia.

— Wiesz, mnie się tam nie śpieszy, ale nie widzę powodu, żeby przedłużać pobyt w tym skwarze i w tym gorzyszym terenie. Każdy stąd wie, że się kurzy.

— Nasz pobyt w tym skwarze i w tym gorzyszym terenie, niezależnie od nas potrwa co najmniej trzy dni, dopóki nie dostrzemy do Tulsy.

Doreen nie przestając obserwować ruchu na autostradzie, manipulowała przez chwilę regulatorem aparatury klimatyzacyjnej.

— Znamy się tyle lat — rzekła — ale do dzisiaj pojęcia nie miałam, że lubisz góry.

— Och, góry. Nie chodzi o góry.

— A o co chodzi?

No tak, Doreen zaraz przy-prze go do muru, będzie mu wiercić dziurę w brzuchu. Chyba nadszedł stosowny moment, żeby wtajemniczyć ją w swoje plany. Rezygnując z obranej taktyki i hamując zapal Jeremey wyznał:

— Po prostu mam ochotę zrobić wypad do Wielkiego Kanionu.

Nawet nie musiał na nią patrzeć, dokładnie wiedział, jaką przybierze minę.

— Wielki Kanion! — wawoliła tak, jakby to była kadz w wrzącą smolę, do której popycha ją widami zastęp piekielny. — Monstrualnie długa, czerwona szpara głęboka na milę i szeroka na dziesięć mil. Jeśli to prawda, że Ziemia jest matką gigantów, to te kolosy wylazły z niej właśnie tamte-dy. Nie mówię o hotelowej rezerwacji na miesiąc naprzód... — Z tym nie powinno być kłopotu — oznajmił Jeremey. — Joe Tushky to załatwi.

— Joe Tushky? Kto to jest Joe Tushky?

Dawny mój znajomy. Ma tam przytulny pensjonat, nad samym skrajem Kanionu.

Zmniejszając gaz Doreen ponownie zająrzała w twarz swojemu koledze.

— O czym ty mówisz, Jerry? Pensjonat? Chcesz, żeby Dana trafiała apopleksja? Już i tak straciliśmy dobę w Las Vegas. Jeremey roznął niedopalek w popielniczkę nad radioodbiornikiem.

C.D.N.

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia”.



Rys. Janusz Szymański-Glanc